Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 17 czerwca 1945 r. | Nr. 29

MIECZYSŁAW JASTRUN

Połęga ciemnoty

Antysemityzm w Polsce, silnie zakorzeniony już przed obecną wojną, nie osłabł — mimo że z górą trzy miliony Żydów i tak zwanych Żydów zostały wymordowane przez inkwizycję hitlerowską. Fakt ten jest w sferze oceny moralnej niemniej potworny od faktu masowej zbrodni hitlerowskiej. Wydawało by się, że ten niesłychany w dziejach mord, dokonany przez znienawidzonego wroga, który z taką bezwzględnością i okrucieństwem tępił ludność polską, wywoła w społeczeństwie polskim, udręczonym i skatowanym, jakiś zbiorowy odruch współczucia, braterstwa w cierpieniu. Przecież: **dum vulnerati fratres...**

Tymczasem krew żydowska, wylana tak obficie przez barbarzyńskiego wroga narodu polskiego i ludzkości wolnej, podnieciła jeszcze drzemiące instynkty tłumu. Ten tłum — to przede wszystkim drobnomieszczaństwo, ten tłum — to część inteligencji. W czasie wywożenia Żydów z ghetta warszawskiego, latem 1942 roku, w czasie palenia tam ludzi żywcem w Wielkanoc 1943 roku, słyszało się najczęściej głosy w tym rodzaju: „Dobrze, że nie naszymi rękami", „Szkoda kamienic, no, ale zbudują nowe, piękniejsze", „Niemcy uprzedzili akcję Żydów przeciw nam" itp. W czasie nalotu sowieckiego na Warszawę w roku 1943, gdy jeszcze płonęła łuna podpalonej przez Niemców dzielnicy żydowskiej, zwierzył mi się jeden z mieszkańców domu z podejrzeniem, że świetlne rakiety wyrzucają powstańcy żydowscy, by wskazać lotnikom najczulsze punkty stolicy.

Skoro już te drobne, ale charakterystyczne fakty podaję, nie mogę, choć nie bez uczucia żalu i wstydu, nie przytoczyć słów, które dawno już rozwiały się w drugim ogniu i w drugim dymie męczeńskiej Warszawy. Młode biuralistki, które wybiegły na taras jednego z największych bloków żoliborskich, by stamtąd patrzeć na pożar ghetta — było to w pierwszych dniach powstania Żydów warszawskich — wołały wesoło w wiosenne, wstrząsane detonacjami, przesycone dymem powietrze: „Chodźcie patrzeć, jak się smażą kotlety z Żydów"! Kto by sądził, że to jakaś zdumiewająca żądza krwi przemawiała przez ich usta, myliłby się. Były tylko ofiarami gromadzonej od wieków potęgi ciemnoty.

Gdyby nie powszechność przesądu antysemickiego, jego zakorzenienie i „oczywistość", nie było by rzeczą możliwą, by całe gromady szantażystów handlowały bezkarnie na oczach społeczeństwa krwią ukrywających się w Warszawie Żydów, najczęściej Polaków żydowskiego pochodzenia. Niemcy powoływali się często na szekspirowskiego „Kupca z Wenecji"; jeśli kiedykolwiek jakiś szatański Shylock żądał funta krwi i mięsa z ciała chrześcijanina w razie niedotrzymania kontraktu, ci „chrześcijanie" z Generalnego Gubernatorstwa odpłacili mu po wiekach cetnarami żywego towaru z ciał „żydowskich".

Gdyby czuli zdecydowanie wrogą postawę rodaków, ich „mokra robota" nie mogłaby przyjąć tak wielkich rozmiarów. Mimo wszystko słowo w porę wypowiedziane nie pozostawało — nawet w tych latach — bez echa.

Obcowałem wiele z młodzieżą w tym czasie i wiem, jak wiele znaczyło wtedy słowo nauczyciela, jak nie trudno na ogół było nadać myślom i uczuciom młodych właściwy kierunek. Co prawda, nie zawsze.

Obserwowałem pilnie w czasie powstania w ghetcie warszawskim reakcję uczniów i uczenic w szkolnych kompletach podziemnych na Żoliborzu i na Pradze. Większość młodzieży gimnazjum zoliborskiego, mającego tradycje demokratyczne, ustosunkowała się do ostatniego aktu tragedii Żydów polskich po ludzku, ze współczuciem i zrozumieniem. Natomiast młodzież licealna z kompletu na Pradze bawiła się po prostu dowcipami na temat wypadków za murem. Kiedy powstanie już dogorywało, jedna z uczenic zapytała mnie, czy wiem o tym, że Żydzi, zbiegli z ghetta, mordują Polaków. Na próżno starałem się jej wytłumaczyć, że ulega rozpuszczanym przez Niemców fałszywym pogłoskom. Zawsze zgodliwa, bardzo inteligentna, uparła się tym razem. Nie uwierzyła moim słowom. Wtedy dopiero zrozumiałem: ona chciała, aby tak było i dlatego wierzyła nawet tej wieści, obliczonej na najniższy gmin intelektualny. Bez wątpienia trzeba było silnej wiary już nie tylko w szkodliwość „elementów żydowskich", ale więcej: w straszliwe niebezpieczeństwo, w demoniczną siłę żywiołu żydowskiego, by móc choćby obojętnie patrzeć na największe w historii świata męczeństwo.

W wielu wypadkach wiara ta była tylko teoretyczna, nie wytrzymywała praktyki życiowej; tym się tłumaczy fakt, że niejednokrotnie ideowi antysemici pomagali swoim wyimaginowanym wrogom. A cóż dopiero mówić o posuniętych aż do samozaparcia wypadkach niesienia pomocy Żydom, o pełnych szlachetnej prostoty aktach wspaniałej ofiarności tej części społeczeństwa, dzięki której ocalała garstka inteligencji pochodzenia żydowskiego. Co mówić o lewicy, o demokracji polskiej, która i w tej i w innych sprawach ratowała godność społeczeństwa — jak zawsze dotychczas w naszej historii.

Nie o tych jednak zjawiskach pragnę w tej chwili mówić, lecz o przeciętnych przedstawicielach mieszczaństwa i inteligencji, o ludziach, którzy stanowią najgęstszą i najpospolitszą masę narodu. Ci sami ludzie, w codziennym życiu niepozbawieni cnót i zalet, kochający swoich bliskich, Warszawę i ojczyznę, w tych momentach, które powinny były z kamienia nawet łzy wycisnąć, zacinali się w ponurej nienawiści, w ślepym zabobonie. O potędze tego przesądu można by tomy napisać, nie tutaj pora i miejsce na historyczną i socjalną analizę zjawiska. Należy tylko zwrócić uwagę, że ludzkość współczesna nie jest, mimo wszystko, podatna na pośpieszne generalizowanie, nawet w szczególnie sprzyjających okolicznościach. Mimo słusznej i sprawiedliwej nienawiści do Niemców za zbrodnie reżimu hitlerowskiego, większość Polaków nie pragnie zlikwidowania narodu niemieckiego, nie pragnie palenia i duszenia w komorach gazowych kobiet i dzieci niemieckich. A przecież byłby to tylko odwet, straszliwy, ale bądź co bądź tylko odwet. Tymczasem „sprawa żydowska" daléj rozpala umysły w nienawiści — do kogo? Do cienia, do widma, do garstki ocalałych ze straszliwego pogromu.

Notowane ostatnimi czasy przez prasę wypadki mordowania pozostałych przy życiu rodzin żydowskich świadczą wyraźnie o tym, że są w Polsce organizacje, które wzięły na siebie posępny trud kontynuowania krwawej roboty hitlerowskiej. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że instynkt samozachowawczy każe tym obywatelom polskim pochodzenia żydowskiego, którym udało się wśród nieprawdopodobnych trudności przeżyć okres okupacji niemieckiej, nie zdradzać się ze swoją metryką urodzenia w wolnej, demokratycznej Polsce.

Mimo jednoznacznej postawy najbardziej demokratycznego z rządów polskich, większość ocalałych z rzezi nie ufa współobywatelom „aryjskim" według idiotycznej terminologii hitlerowskiej. Ten brak zaufania do szerokich mas ludności polskiej nie jest przypuszczalnie jeszcze jednym objawem „nikczemności" i „chytrości" żydowskiej. Wystarczy mieć otwarte oczy i słyszące uszy, by zrozumieć obawy niedobitków.

Stało się inaczej, niż przewidywał Julian Tuwim w artykule o Żydach i sprawie żydowskiej, nadesłanym z Ameryki i (o ile wiem) nie drukowanym dotąd nigdzie. Tuwim przewidywał, że słowo „Żyd" stanie się słowem zaszczytnym, że po rzezi milionów — ocalali w Europie Żydzi będą chodzili w aureoli męczeństwa. Pomylił się jeden z najbezpośredniej reagujących poetów polskich, pomylił się w swej mesjanistycznej, antyracjonalistycznej ocenie zjawiska. Pomyłka jego ma niebylejaką tradycję, sięga jeszcze mesjanistycznych złudzeń Mickiewicza.

Zdziesiątkowany przez najnikczemniejszych siepaczy, udręczony pospólnie w obozach śmierci i zniszczenia, naród polski nie podał bratniej dłoni „Izraelowi", mimo, że Rząd Rzeczypospolitej nadał mu „równe we wszystkim prawo", żeby użyć terminologii Składu Zasad Legionu Włoskiego. Ściślej biorąc, nie „naród", tylko reakcyjna część narodu. Literatura polska, wyraz istotny narodu, i tym razem nie opuściła ginących śmiercią męczeńską. Świadczy o tym znany już szeroko wiersz Władysława Broniewskiego „Żydom polskim", wiersz Czesława Miłosza „Giordano Bruno", niektóre strofy Jerzego Zagórskiego, dramaty Otwinowskiego i Flory Bieńkowskiej.

Zbyt wstrząsające były dzieje Żydów podczas ostatniej wojny, by mogły nie znaleźć odbicia w literaturze, nawet tak leniwie nadążającej za historią, jak nasza. Na niektórych jednak utworach, dotykających tego tematu, ciąży dotychczas idealistyczne pojmowanie dziejów. Stąd — mesjanistyczne koncepcje o „winie" czy o „misji", jednako wsteczne i jednako szkodliwe w swym ostatecznym wygłosie. Utopii nienawiści nie można zwalczać utopią humanitarnego kaznodziejstwa. Potędze ciemnoty należy przeciwstawić potęgę rozumu. Nieracjonalistyczne, antymaterialistyczne ujmowanie zagadnienia pozostawia dość szerokie ramy dla tych ożywionych uczuciem humanitarnym jednostek, które nie umiejąc strząsnąć ze siebie zabobonu, usiłują nadać mu odcień szlachetny. Niezależnie od oceny moralnej tego zjawiska, było by rzeczą wysoce niewłaściwą i pozbawioną zdrowego sensu stawianie sprawy na jednym poziomie z akcją charytatywną. Milczenie Namiestnika Chrystusowego w tej i w innych sprawach jest zresztą dostatecznie wymowne.

Walka z antysemityzmem, która czeka nową demokrację polską, podobnie jak i demokracje innych krajów, jest walką z najciemniejszym objawem reakcji i musi być prowadzona w sposób zdecydowany i rozumny. Przede wszystkim — oddziaływanie środkami wychowawczymi: prasa, szkoła, książka, odczyty. W każdym razie pokrywanie tej i tak głośno krzyczącej hańby milczeniem, nie przyczyni się do polepszenia stanu rzeczy. Zagadnienie nie jest łatwe, bo publicystyka nasza nie ma piór dość namiętnych i prawdę miłujących, bo literaci nasi wolą unikać zbyt drastycznych tematów, bo szkoła nasza nie rozporządza zastępami nauczycieli przejętych prawdziwym duchem demokracji i braterstwa ludzkiego.

JERZY PUTRAMENT

WIERSZE WOJENNE

Przedwojnie

To lato. Słońce. Upał. Zakurzone drzewa.
Stolice się przesiadły w nadmorskie pociągi.
Kelnerzy przy stolikach. Łysiejący mieszczuch
od blasku białej plaży mruży się i ziewa,
czytając, że daleko, gdzieś tam w Chinach, ciągle...
i z nudów zwolna w morzu nurza miękkie ciało.
A w obumarłych miastach giełdy-sejsmografy
już nerwowo dygocą od wstrząsów złowieszczych
i węszą złoto we krwi. Gabinet premiera
jak okręt. Jego sternik głowę osiwiałą
pochylił, niecierpliwie wypatrując rafy,
na którą całym pędem ma najechać.
Noce
rozbzykane iskrami szyfrowanych depesz.
Nad wojskowym lotniskiem gwiazdy z nieba ściera
senna dłoń reflektora.
Nudna jest i trwożna
epoka, której jasność pachnie próchnem. Oceń
jej przejrzałą, bezpłodną naiwność.
Rocznice
wiekopomnych przełomów, gromowładnych
zwycięstw
wstają, wyblakłe, z grobów, aby się przekonać,
że z nich nie pozostało nic, prócz pustej nazwy.
Krótkonogie ministry na trybunę wlazły
i przed gromadą fraków długo pieją chwałę
stupięćdziesięcioletnią zdobycia Bastylii,
a konni policjanci strzegą, by nie można
było podejść pod pomnik wnukom Robespierra,
bo ich wzrok może zepsuć uroczystą rewię.
Huczy bruk od dorocznych wojskowych defilad.
Patrzysz na czołgi, konie, armaty i nie wiesz,
czy tu dzisiaj rocznicę tamtej wojny czcili,
czy ruszali na nową.
Bastylia zburzona,
wróg na zawsze rozbity — wszystko znów powraca.
Tak ciężkie sny dzieciństwa nawiedzają starca,
a we snach czyha zguba.
Wieczory niemrawe
wędrują po wsiach dymem spalenizny. Czyżby
ziemia tak, jak w czternastym zawczasu przeczuła
żar, który ją niebawem pożre? Nie, to pewnie
jeszcze dymi sczerniała kastylijska Sierra.
Zbyt groźna w swej młodości była, by jak Piłat
rąk nie umyć i do stóp rozbójniczej ciżby
nie cisnąć pod wzniesiony, ciężkozbrojny kułak.

1939

Nocne niebo czerwca 1943

Czerwone, jak porzeczki, połyskliwe gwiazdki
wypryskują i gasną na niebie. Za niemi
pięć żółtawych księżyczków, okrągłych i płaskich
wypada z nocy, wolno żeglując ku ziemi.

Jak w stożkowatej muszli rośnie dygot giętki,
zwolna rozhuśtał ciszę, nagle biało mrugnął,
stał się wyciem i ciosem. Z niewidzialnej ręki
porażony, horyzont krwawi łuną brudną.

Ziemia skryła się. W rzece niebo już się nie tli,
biała mgła je spowiła dymową zasłoną.
Zamarły sosny. Tylko nieostrożny świetlik
spod liścia się wychylił i płonie zielono.

1943

Ewakuacja

Co zostało mnie jeszcze do przebycia
na tej biednej, na tej gniewnej ziemi?
Śmierć wibruje w dudniącym błękicie,
bogowie padają niemi.

Bezlitosny, bezpowrotny czas nastał,
młotem w skroń wydzwania każdą dobę.
Znojnie konają miasta,
aż się staną swoim własnym grobem.

Wielka niemoc myśli ludziom pęta,
biegną gnani trwogą nierozumną,
na stacyjkach blade niemowlęta
długo płaczą, nim wyziębłe umrą.

Grzmi i wzdycha łuna nad zachodem,
wschód głębokim echem odpowiada
i miotają się między ogniem i głodem
rozczochrane ludzkie stada.

Każdy brud, każdą jamę, każdy wątek
nędzy tych dni przejść mi trzeba.
Muszę warczeć na sąsiada o wrzątek
i przymilać się do kawałka chleba.

Jestem wywiadowcą przyszłej pory,
marznę i głoduję tutaj, aby
ci szczęśliwi mogli poznać smaki i kolory
czasu, gdy potężne było zło, a człowiek słaby.

Niech się wzdrygają i brzydzą
patrząc w tę przepaść bez dna,
opowiem wszystko, co widzę,
na nic się więcej nie zdam.

Październik 1941

* * *

Kraju jarzębin i pól,
kraju przedwiośni i wrześni,
twój niespokojny puls
tętni mi we śnie.

Idę i ty idziesz ze mną
przez obcy, wymarzły Kazań.
Jaki przebiegły demon
być tobie takim kazał?

Nad tobą niepewny nieba
błękit i burza częsta
i synom twym innej nie ma
drogi oprócz męczeństwa.

Ojczyzno moja bolesna,
jak szczęście ode mnie daleka,
kiedyż twój rozum rozezna
gdzie jaki los ciebie czeka?

Te słowa do ciebie czy dobrną?
Czy ich wysłuchasz, czy przyjmiesz?
Kraju łęgów i dąbrów,
idziesz milczący przy mnie

i wiem, że próżno cię pytam
i serce o ciebie mi cierpnie.
Wstaniesz, zbolały tytan,
niesyty złudzeń i cierpień.

Grudzień 1941

Kto będzie wychowywał w zasadach demokracji i braterstwa młodzież naszą, demoralizowaną przez długie lata przez zbrodniczego okupanta, psutą niejednokrotnie także przez otoczenie domowe? Jest to zagadnienie szerokie, niezmiernej wagi, przerastające znacznie sprawę tu przez nas poruszoną, bo jest to zagadnienie przywrócenia proporcji ludzkich zdziczałemu obliczu świata.

Bezpośredni wpływ hitleryzmu na nasze społeczeństwo przez blisko sześć lat działający, bardziej pośrednio od wielu lat wcześniej drążący sobie drogę do dusz ościennych, musiał wywołać głęboko sięgające skutki.

Jest to zadanie niezmiernie trudne wobec faktu, że i nauczycielstwo nie jest wolne od wpływów zarazy faszystowskiej. Jaką wychowawczynią młodzieży jest nauczycielka, która — w prywatnej rozmowie — wypowiada, niestety, dość rozpowszechniony pogląd: „Hitler, wymordowawszy Żydów, wykonał za nas brudną robotę".

Było by nieporozumieniem sądzić, że tak myśli większość nauczycieli. Tak myślą ciemne, zdziczałe jednostki, których matką była Hitleria. Nie, by te jednostki usprawiedliwiać, lecz by prawdę zobiektywizować i tym mocniejszą ją uczynić, należy stwierdzić, że nawet w krajach oporniejszych na oddziaływanie zabobonów, w krajach o innej strukturze społecznej, gdzie — zdawało się — nawet cień epok zamierzchłych nie pozostał, nawet tam zaczęły wychodzić spod ziemi upiory przeszłości.

Literatura musi działającej od lat propagandzie hitlerowskiej przeciwstawić potężną broń, jaką jest słowo. Do czytanek i podręczników szkolnych muszą być wprowadzone odpowiednie utwory literatury dawnej i nowej — a nie brak ich w naszym piśmiennictwie. Nacisk powinien być położony nie tyle na sentymentalną stronę zagadnienia, ile na fakty.

Udział Żydów w powstaniach narodowych, udział w konspiracji pod okupacją niemiecką, walka jednostek w szeregach AL i AK w czasie powstania 1944 roku i w Wojsku Polskim, odezwy organizacji polskich w sprawie tragedii Żydów, rozkazy gen. Żymierskiego — wszystko to powinno znaleźć miejsce w programie szkolnym.

Nie wolno zwlekać, nie należy się łudzić, że front ogólnonarodowej współpracy da się łatwiej zmontować, gdy przemilczymy niepopularną w narodzie sprawę. Zaakcentowały to już czynniki państwowe, czcząc rocznicę powstania w ghetcie warszawskim.

Pamiętajmy, że większość nieoświecona (należy do niej zaliczyć także część tak zwanej inteligencji) jest raczej bezwładna niż fanatyczna, ulega po prostu zbyt rozpowszechnionemu poglądowi, który w danych warunkach nabiera znamion niemal obyczajowych. Działa tu silnie obawa przed oryginalnością sądu, niechęć do przeciwstawiania się prawdom, które uznają sąsiedzi i przyjaciele, lęk przed śmiesznością, pragnienie osiągnięcia „pełni polskości" — skoro za nieodłączną cechę polskości w pewnych grupach społecznych uważa się — antysemityzm. Obrona Żydów była od dawna u nas uważana przez dziedziców feudalizmu za wrogą robotę antypaństwową, „w złym tonie" było przytaczać argumenty rozumowe tam, gdzie rządziła nienawiść. Opóźnienie rozwoju społecznego w naszym kraju, długowieczność ziemiaństwa, które ideologię swoją narzuciło mieszczaństwu i grupom inteligencji, ogólna sytuacja we wczorajszej Europie, wszystko to składa się na dzisiejszy stan sprawy, na obraz złożony, wieloplanowy, który nie łatwo będzie zmienić, mimo zmienionych warunków. Głęboko sięgające nawarstwienia w duszach, trwalsze od podłoża, na którym powstały, chociaż przeżyły swój sens początkowy, będą się długo i uparcie bronić. Feudalny stosunek do człowieka tkwi w umysłowości przeciętnego inteligenta głębiej, niż przypuszczamy.

Zupełny brak poczucia rzeczywistości historycznej w szerokich masach inteligencji i nowego mieszczaństwa, liczenie na Anglię i Archanioła, negowanie oczywistych faktów, a żywienie się plotką pokątnie szeptaną, która urasta do rozmiarów Biuletynu Niebieskiego, wszystko to sprzyja niezmiernie bujnemu krzewieniu się wszelkiego rodzaju przesądów i ponurych mitów na naszą własną zgubę.

Raz jeszcze sprawdza się głęboko prawdziwa formułka Słowackiego o „sercu, gdzie nie trwa myśl ani godziny".

Powinno stać się pragnieniem wszystkich w Polsce ludzi rozsądnych, wszystkich wyznawców postępu i demokracji — a jest ich, na szczęście, niemała liczba — aby ich trzeźwy głos był w kraju i za granicą słyszany, aby nie został stłumiony jazgotem motłochu inteligenckiego, zmajoryzowany przez ślepą lub ogłupiałą większość mieszczańską. Ale jest rzeczą wiadomą, że łatwiej u nas o bohaterstwo w walce wręcz, o wspaniałe odruchy męstwa i szlachetności w boju niż o odwagę cywilną.

Wojna wygrana została w Polsce dzięki odwadze i poświęceniu tysięcy walecznych, pokoju nie wygramy na pewno tchórzliwym przemilczaniem spraw drażliwych, odkładaniem ich na później, kokietowaniem kołtuna. Najlepsze tradycje wielkich okresów naszej historii i kultury są z nami.

Mieczysław Jastrun

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA *)

ROZDZIAŁ V.

Katarzyna jak zwierzę krążyła między salonem i poczekalnią, by po dziesięć razy najciszej przechodzić pode drzwiami pokoju męża.

Już od dłuższego czasu Oxeński co dzień na parę godzin po południu zamykał się w swoim gabinecie. Mówił, że chce odpocząć, i życzył sobie, by nikt nie wchodził, póki sam nie zadzwoni.

Znosiła to przez godzinę albo przez dwie godziny. Ale wreszcie nie mogła znieść dłużej. Wynajdywała jakiś pretekst, cichutko wchodziła do gabinetu. Co to miało znaczyć? Co to znaczyło? Nie czytał, nie pracował, leżał bezczynnie na swym rozległym tapczanie. Leżał i nawet nie drzemał. Wiadomo było, że nigdy nie umiał zasnąć w dzień. „Czy mówiłaś coś do mnie?" pytał niespokojnie. I nie odzywał się więcej.

Więc chciała wiedzieć, czy nie gniewa się na nią. Mówiła: „Powiedz, czy ci co zrobiłam?" Milczał wyczekująco i niepewnie odpowiadał wreszcie, że nie, że tylko potrzebuje teraz spokoju. Później nie odpowiadał już wcale. A od paru dni zamykał drzwi na klucz. Przed nią!

Więc usiłowała nie podchodzić do tych drzwi. Kosztowało ją to wiele. Uciekała z domu. Szła do rodziców lub do Tekli, szła byle gdzie. Do kawiarni, do kina. Ale nigdzie nie mogła wytrzymać długo.

Wracała i miotała się po mieszkaniu, w którym nie było już nic do zrobienia po jej pracowitych porankach. Przedmioty stały na swoich miejscach, nigdzie nie było kurzu, wszystko świeciło się i błyszczało od czystości, którą zamęczała służbę, która była jej potrzebą i dumą, która wypełniała jej życie. Nie było już szuflady, którą można by wyjąć na podłogę i całą do dna na nowo wysprzątać; nie było kryształu, który można by zabrać do łazienki i wymyć tam i wytrzeć do sucha, by odzyskał wszystkie swoje blaski. Nie miała nic do szycia, nic do cerowania, wszystko było zrobione. Chciała czytać, ale nie była w stanie myśleć o tym drukowanym świecie, nudziło ją wszystko nierzeczywiste.

Nakręcała aparat na jakieś dalekie rozgłośnie i z ogromnych przestrzeni powietrza dobywała ludzkie cudzoziemskie słowa, okrzyki, wycia podnieconych złymi słowami tłumów. Zamykała to zaraz. Nie znosiła polityki, znudzona nią u ojca i zwłaszcza męża, który zachował to zainteresowanie z dawnych czasów. Wolała muzykę. Cały świat dźwięczał teraz niewidzialnie, ludzie ludziom przesyłali wciąż te odległe znaki życia. Przez chwilę dawała się kołysać śpiewającemu powietrzu. Ale, ach! — nie obchodziło jej nic na świecie poza tym jednym człowiekiem, który dziś, po trzynastu latach takiej miłości, zamykał się przed nią na klucz!

Kochała go, gdy jeszcze wcale o tym nie wiedział, gdy nie mógł się tego w żaden sposób domyśleć. On mówił do niej: „ty", ona do niego: „pan". Jeszcze dziś, gdy tak grała daleka muzyka, którą wciąż musiała przyciszać do szeptu, by nie usłyszał Oxeński, czuła w sobie obecną swoją dziecinną miłość, pomieszaną z rozdzierającym smutkiem, z rozpaczą i gniewem.

Była dzieckiem w małym samotnym domu, daleko od stacji, na uboczu świata. Oto wyjeżdżał. Gdy żegnał się z rodzicami, czekała swojej kolei. Całował ręce matki, uściskał ojca, kochali go wszyscy, mówili, że jest najbliższym przyjacielem. Czekała swojej kolei, gdy jeszcze przed nią uściskał Teklę, swoją „małą przyjaciółkę". I wreszcie podszedł do niej, stojącej na wyprężonych, długich nogach, napiętej tym oczekiwaniem jak struna, całej tętniącej od niecierpliwości i przerażenia. „Do widzenia, mała", powiedział i dłonią przygarnął jej twarz ku sobie. „Bądź zdrowa", powiedział jeszcze i jak Teklę, ucałował ją w policzek i usta.

To był koniec jej dzieciństwa. Coś się zmieniło wewnątrz niej, ślad tego źle zrozumianego pocałunku pozostał, jak zapuszczone żądło, w jej pamięci. Od razu wiedziała, że to właśnie jest miłość, od razu na to przystała. W ciepłe letnie wieczory wiejskie, w długie godziny przed zaśnięciem pasła swój głód rozpamiętywaniem tej jednej chwili.

Wojna wciąż trwała, za Oxeńskim wkrótce wyjechał ojciec. Razem z matką płakała, bojąc się o jego życie. Ale o Oxeńskiego nie bała się nigdy.

Kochała matkę, dokuczała jej jednak — zwłaszcza teraz, gdy ojca długo nie było w domu. Nie cierpiała tego cichego życia koło siebie, ciężyła jej wiejska samotność, bo ludzie byli tutaj prości i głupi, nikt prawie z miasta nie przyjeżdżał — prócz jedynie profesora Dzianwy, który bał się o swego syna i wciąż mówił, że ta wojna jest niepotrzebna. Katarzyna uważała wojnę za stan naturalny, nie miała pięciu lat, gdy się zaczęła, zawsze skądś słychać było armaty, zawsze rozkładało się mapę na stole i patrzyło, które miasta zostały zdobyte lub opuszczone.

Robiła się wciąż bardziej uparta i zawzięta. Jej straszliwe gniewy, jej śmiertelne obrazy ciągnęły się całymi dniami. Nigdy nie przeprosiła, gdy była winna, nigdy pierwsza nie przyszła się pogodzić. Tylko powroty ojca rozjaśniały dom i łagodziły na jakiś czas jej usposobienie.

Czego właściwie chciała? Ludzi mądrych, wspaniałych, których mogła by uwielbiać. Siebie dorosłej, pięknej, umiejącej wszystko, pamiętającej wszystkie daty, wszystkie miasta i rzeki i mówiącej o tym z ludźmi mądrzejszymi od siebie. Nie ufała bowiem rozumowi matki. Dzianwę uważała za dziwaka, nawet ojciec wydawał jej się czasami naiwny. Nie mogła brać na serio jego pouczających słów, jego rad, jego świętego oburzenia wobec jej pretensji. „To trzeba się było urodzić córką paskarza", powiedział kiedyś zgorszony. Ach, naturalnie! Ale skąd miała wiedzieć, jak się to robi. Po dziś dzień czuła wstręt do ubóstwa, do cnót społecznych, do „idei". To zaciężyło nad jej dzieciństwem, to zatruło, jak sądziła, jej młodość.

Uwielbienie swe dla życia uczuwała jako męczarnię. Każda mijająca godzina była stracona, stracona na zawsze! Nikt ze starszych nie rozumiał, że ten czas nie wróci, nikt tego nie pojmował. „Jesteś jeszcze mała, możesz poczekać", mówiła matka. I śmiała się z jej złości, która była przecież dziecinną rozpaczą.

Jak wyobrażała sobie to życie, zawsze dla niej niedostępne, przetaczające się ogromną bryłą szczęścia gdzieś ponad nią — daleko, daleko... Widziała je jako park o zmroku, z balustradą tarasu, ze światłami z wysokich okien płynącymi na noc. Siebie tańczącą z prawdziwymi mężczyznami, nie z małą Teklą, i to jeszcze jako damą! Siebie zmęczoną zabawą, stojącą tam przy tarasie z człowiekiem cudnym, którego nie wstydziłaby się kochać.

Wzoru do tego marzenia dostarczyła Katarzynie winieta, zdobiąca pożółkłą okładkę nut, leżących w salonie na fortepianie. Był to wiedeński walc Straussa o rozmarzającym tytule: Leben und Lieben, grany w ich domu kiedyś jeszcze przez babkę.

Gdy na jesieni przenosili się do miasta, w życiu Katarzyny nie zmieniało się wiele. Oxeński już drugi rok przebywał za granicą. Matka nie lubiła składać wizyt i nie bardzo mogła przyjmować, skromne ubogie mieszkanko nie było odpowiednie dla nowych dygnitarzy. Ojciec nawet już przywykł bawić się poza domem. Oprócz Dzianwy przychodził równie stary i zasłużony Ślemień, niekiedy też Uświacki albo Aramowicz, obaj bez żon. Mówili o rzeczach nieistotnych i całkiem nieważnych. Dziwna, że nawet się o nie spierali.

Odchodziła od gości, kryła się po kątach nudnego domu. „No wyłaź, wyłaź stamtąd, mała złośnico", mówił ze śmiechem ojciec. Nie odrywała oczu od książki, nie raczyła się odezwać — wiedziała dobrze, że jest jego „oczkiem w głowie".

Nie lubiła koleżanek ani ich młodych braci i przyjaciół. Wszystko było niegodne jej, wszystko odtrącała z przesadną zgrozą. Myślała bowiem, że jeżeli przystanie na to, co jest, tym samym wyrzeknie się tego, co by być mogło.

Raz — znowu na wsi — siedziała przy oknie zła i chmurna. Poszedł sobie przed chwilą wzgardzony przez nią i wyśmiany chłopiec z sąsiedztwa, przychodzący niepotrzebnie, by patrzyć jej w oczy. Był ładny, ale był głupi. „To jest najulubieńsza moja sukienka", powiedział. „Najulubieńsza z czego?" „Najulubieńsza na świecie". Nienawidziła go za to, że czerwienił się, gdy stał blisko, że było po nim widać, co czuje. Cóż za ohyda, cóż za hańba, że i w niej przy tym coś się działo! I że to haniebne było przyjemne. I przejmowało obrzydzeniem do tego chłopca, który to zawinił.

Gdy wreszcie odszedł, siedziała przy tym oknie, udręczona sobą ponad wszelką miarę. Był zmierzch wiosenny. Siedziała patrząc w ten świat — taki piękny i taki straszliwy. Łąka w dole nad rzeką jeszcze nie obeschła, na rozlewiskach turkotały żaby, z ogrodu szły ciche głosy usypiających ptaków, z drzew, które kwitły, opadały na ścieżkę białe płatki. Rosnąca drapieżna tęsknota za życiem, za dalekim niemożliwym szczęściem, targała nią, jak zwykły cielesny ból. I nic nie mogło wyrównać tego cierpienia, nic nie mogło być dotrzymaniem zawartej w nim obietnicy.

Na dole w ogrodzie widziała ojca i matkę. Kończyli sadzenie pomidorów. Ojciec w dwóch blaszanych konewkach przyniósł wody, matka zdjęła sitko i wlewała wodę do dołków. Wydawali się szczęśliwi, ojciec ładnie wyglądał w bluzie wojskowej, w wysokich, wąskich i świecących butach. „Im to wystarcza", powiedziała sobie z politowaniem, przejęta współczuciem dla smutku świata, dla żałosnego losu tych ubogich, nieciekawych ludzi.

Był to wieczór, w który niespodzianie przyjechał Oxeński. Teraz nie całował jej już na powitanie, uważał ją za dorosłą. Opowiadało się wtedy o jakimś spotkaniu na moście, o meldunku przed pomnikiem Księcia Józefa. Cały czas mówili z ojcem o sprawach politycznych, spierali się, chociaż nie było o co. Nie czuła się już taka mała i głupia, jak w dzieciństwie.

Krążyła dziś koło jego drzwi przed nią zamkniętych i myślała o wszystkim, co minęło. Jakże witali go radośnie, śmiali się, pili wino, wspominali sprawy, które działy się na długo przed jej pamięcią. Słuchali jego opowiadań o kongresach i zjazdach, o teatrze i muzyce — tam, w tym Paryżu, gdzie razem kiedyś byli młodzi. Przywiózł nowe książki i nuty piosenek, małe, jak dla dzieci, matce rękawiczki paryskie, ojcu chyba krawat, a jej i Tekli kryształowe niebieskie paciorki. Po kolacji siedział przy fortepianie, akompaniował sobie sam i śpiewał. Czy jest możliwe, aby gdziekolwiek na ziemi istniało to, co zawierały melodie tych pieśni, tak słuchane i tak zapamiętane do dziś?

Odchodziła i wracała, gnała ją niecierpliwość, nienawiść i żal. Nie do niego — do świata, że jest taki, do rodziców, do służby, do Edmunda.

Wiedziała, że drzwi od wewnątrz na pewno są zamknięte, słyszała miękki chrzęst zamku gdy przekręcał klucz. I jednak zastukała, jednak nie mogła się oprzeć tej chęci.

Nie odezwał się nikt. W pokoju, za matową szybą było ciemno. Ale na pewno tam był, leżał po ciemku i nie spał. I nie chciał jej widzieć.

I jeszcze zastukała po raz drugi.

— To ja! — zawołała, choć nie pytał.

Znowu milczenie. Stała. Postanowiła nie ustąpić. Chwilę czekała i stukała znowu.

— To ja, to ja! — wołała. — Czy mnie nie słyszysz?

Odrzekł niepewnym, jakby pytającym głosem:

— Słyszę...

— Otwórz, Antoni, otwórz! To ja! Bo tu zwariuję!

Nasłuchiwała aż usłyszała wreszcie, że się poruszył. Szedł ku drzwiom po dywanie. Nie słychać było stąpań, wyczuwała tylko, że idzie, po ledwie dostrzegalnym drżeniu posadzki.

Stał pode drzwiami przez chwilę i także nasłuchiwał. Co za koszmar! Tuż obok rozległ się jego lękliwy głos:

— Czy ty mnie wołasz?

— Otwórz na miłość boską! Czyśmy oboje poszaleli?

Z wahaniem przekręcał klucz w zamku, otworzył drzwi i nie czekając na jej wejście, zwolna cofał się w stronę swego legowiska w ciemność.

— Czy można zapalić światło? Co ci jest?

— Nic, jestem trochę zmęczony.

Roześmiała się.

— Nie mów mi tego. To nie jest zmęczenie. Ty jesteś chory, albo — chyba mnie nienawidzisz.

Chwilę milczała.

— Czy to może ktoś jest, nie?

— Nie, któż by mógł być. — Ostrożnie zwalił się na tapczan. — Jestem po prostu zmęczony, to wszystko. Miałem rano tę sprawę, potrzeba mi spokoju.

— Wiem, wiem, — rzekła szorstko. Zapaliła światło na stole i na jednym z krzeseł, ustawionych wokół stołu, usiadła. To ona była zmęczona śmiertelnie, to ona „leciała z nóg"

Powiedziała pokornie:

— Pozwól mi, ja tu posiedzę, taka jestem o ciebie niespokojna. Nie będę ci przeszkadzała, nie będę nic mówiła.

Odpowiedział: — Dobrze.

I nagle, zmieniając zupełnie ton, z ożywieniem, prawie z uprzejmością, zwrócił się do niej:

— Słuchaj, Kasiu, chciałbym cię o coś zapytać. Tylko, proszę cię, odpowiedz mi zupełnie szczerze, bez żadnych, że tak powiem, względów... Tak, jak myślisz, jak ci się naprawdę zdaje...

Aż się uniósł i usiadł na swym posłaniu, gotów jakby do dłuższej rozmowy.

— Chciałbym widzisz, żebyś mi powiedziała jedno: czy coś zauważyłaś, czy nie?

— Nie, nie rozumiem... Co miałam zauważyć?

— Nic, nic. Bo myślałem...

Uspokoił się, zarazem doznając rozczarowania. Jakby miał nadzieję, że ktoś mu ulży, ujmie trochę tego ciężaru, pod którym się już łamał.

— To nic, — powtórzył. — To dobrze.

Siedziała spokojnie i milczała. Oczy jej wypoczywały na widoku tego znajomego wnętrza. Z długiej wazy pod lustrem naprzeciwko wystawały rzędem ponsowe cyklameny, firanki spływały jedwabiście po osłoniętych szybach, świeciła się na stole politura, odbijając kryształową nóżkę lampy. Ciepło, spokój, dom. Ten człowiek. Być tu, być blisko, znaczyło doznawać otuchy, napawać się szczęściem. Nie chciała nic więcej, niż tu być i tak siedzieć w milczeniu.

Jednak Oxeński poruszył się znowu, by zapytać:

— Czy tu jest cicho?

— Tak. Ja nic nie mówię...

Nie mówiła nic istotnie. W pokoju było cicho. Ale dla Oxeńskiego powietrze roiło się od słów i powiedzeń, od przynagleń i jak gdyby pogróżek, od szumów, gwizdnięć i powiewów. Otaczał go teraz szalony popłoch, tumult i gwar. A wszystko działo się wyłącznie wewnątrz niego, to była jego własna sprawa ze sobą.

Pomyślał: już się zaczyna, już się z tym zdradzam, już nie da się tego ukryć dłużej. I powiedział półgłosem do siebie, niby na próbę:

— Cicho... Cicho...

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

*) Ciąg dalszy. Por. nr nr 13—28 „Odrodzenia".

ARTUR SANDAUER

Noc praworządności

— Na korytarz! Zbiórka!

W północną ciszę, przerywaną szelestem arkuszy, skrzypieniem piór i żuciem szczęk, okrzyk ten wpada jak chlaśnięcie bicza. Zgarniając w pośpiechu papiery ze stołów, dławiąc się niedojedzonym chlebem, wybiegają, popychając się, na mdło oświetlony korytarz. Z drugiej sali z tupotem butów wysypuje się milicja.

— W dwuszeregu zbiórka! Milicjanci do przodu, urzędnicy do tyłu! Prędzej! Prędzej! Gestapo pod bramą!

U drzwi wejściowych rozlega się potwierdzający warkot motorów.

Więc po to wyrwano ich o północy z łóżek? Nagła kontrybucja, której rozpisaniem i ściągnięciem mieli się jakoby zająć, była tylko pretekstem? Chodziło po prostu o to, aby bez zbytecznego szukania wydać wszystkich urzędników w ręce gestapo?

Stuk butów: gestapowiec. Wysoki, tym wyższy, że w sięgającej do kostek pelerynie, wodzi spod nasuniętego daszka oczyma po zastygłym na baczność dwuszeregu. Wie, że słowa, które padną z jego ust, mają być ostateczne, decydujące o życiu i śmierci. Ale widocznie nic szczególnego nie wpada mu na myśl, bo po chwili milczenia rzuca niespodzianie:

— Wo ist Futschik?

Pytanie zaskakuje. Trzeba chwili namysłu, by odgadnąć, że ów Futschik to znany spryciarz i faktotum, Fucek Poznański, który podczas poprzednich odwiedzin gestapowców, gdy przyjeżdżali jeszcze tylko na pijatyki, załatwiał im wódkę, kupony i dziewczęta. Ktoś odpowiada:

— Futschik ist im Zwangsarbeitslager.

Ta krótka wymiana słów wywołuje jednak pewne odprężenie. Rozmawia, szuka Fucka, chce może skóry, może materiałów. Nie jest więc aż tak źle. Niektórzy oswajają się od razu do tego stopnia z położeniem, że stają na spocznij lub nawet wychodzą z dwuszeregu.

Lecz wnet się cofają. Z wejściowych drzwi za gestapowcem sypią się, łomocząc kolbami, esesowcy, niebiescy i czarni, a w ślad za nimi miejscowa policja. Robi się duszno i groźno.

— Uważajcie — mówi gestapowiec po niemiecku — i zapamiętajcie sobie moje słowa do późnej starości, której niewątpliwie dożyjecie. Wasze dotychczasowe życie było jednym wielkim świństwem. Zajmowaliście się handlem, mordem rytualnym i protokołami mędrców Syonu. Mimo to przebaczam wam i daruję wam życie. Chcę tylko waszego dobra. Trzeba mi 3500 ludzi z waszego miasta. Wy, którzyście się tutaj znaleźli, macie mi ich dostarczyć. Po dwóch was pójdzie z jednym z naszych, wyciągniecie ludzi z mieszkań, zgromadzicie ich u wylotów ulic, a potem odprowadzicie na dworzec kolejowy. Mieszkania pozamykać, klucze zabrać, doczepić do nich karteczkę z dokładnie wyszczególnionym adresem i nazwiskiem i wręczyć mnie osobiście na dworcu. Tyle. A wy — tu zwraca się do esesowców i policji — stańcie za dwuszeregiem, kryjąc tak, aby jeden z was przypadał na każdą dwójkę.

Podczas tej przemowy nie wiadomo skąd wyrasta prezes rady z papierami pod pachą i wtyka do ręki każdemu z urzędników po arkuszu. Otrzymanie papierka działa na nich od razu uspokajająco. Odnajdują się w znajomej atmosferze, odczuwają praworządność. Mrużąc krótkowzroczne oczy i garbiąc się, czytają w świetle jedynej na korytarzu lampy naftowej: „Gasse... so und so... Alle mit Ausnahme von", po czym następują nazwiska. Ach, więc tak: brać należy wszystkich, prócz wymienionych w spisie. Ogarnia ich radosne poczucie, że, jakkolwiek w eskorcie Niemców, idą między swoich jako wybawiciele. Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdzili, byli członkami wielu towarzystw filantropijnych, a i teraz przypadła im w udziale zaszczytna rola ratowania bliźnich, nielicznych co prawda, lecz — mój Boże! — lepiej, żeby zginęła część tylko, niż wszyscy. Tymczasem stojący z tyłu policjanci repetują karabiny i stukają ich lufami między łopatki: „Kommt's".

Trójki wychodzą w noc sierpniową. Blaszane dachy śpią cicho, polerowane księżycem. Wśród przegniłych, poczerniałych od starości domów wieje tu i ówdzie, jak z piekarni, ciepłym powietrzem, wonią wody i pól, zmieszaną z odorem kanałów. Dalekie samochody tną nożami świateł drzewa. To przyjeżdżają posiłki esesowcom. W jakimś oknie błyska przerażony płomień zapałki i gaśnie po chwili. Trójki rozchodzą się, przyczajone, brodząc po kostki w zielonym, szeleszczącym piachu.

Jedna z nich skręca w boczną ulicę czy raczej wąwóz, gęsto zarosły na obu stokach dzikim zielskiem. Na szczycie domy. To tu. Pochyleni wspinają się, parząc ręce o pokrzywy. Już każdy stara się iść jak najciszej, by nie obudzić śpiących. Już pragnie wyróżnić się w łowach. Śmiertelna gra wciąga.

Dryzg! Policjant uderzeniem kolby wywala zatkniętą skoblem bramę. Milicjant, porwany chęcią współzawodnictwa, kopie nogą w osiadłe do ziemi okno. I w drugie. I w trzecie.

— Po co? — mówi urzędnik. — Przecież i tak wszystko otwarte.

— A tak sobie... Niech wszystko przepada, kiedy tak...

Wpadają do sieni o podłodze ubitej z gliny, otwierają niedomknięte drzwi. Z pokoju bucha ciężki odór wyziewów i potu. W otworze piekarskiego pieca tli się ogarek. Spod betów wyzierają nieprzytomne oczy dzieci. Ojciec, wysoki mężczyzna z obrzękłą twarzą, ze śliną zastygłą w kącie ust, stoi pośrodku pokoju, dyndając bezradnie rękoma. Policjant nie wchodząc trąca urzędnika nie kolbą już, lecz łokciem, i zbliżony tym gestem, mówi poufale:

— Wejdź ty, powiedz im, żeby się ubrali i wyszli. Ja poczekam w sieni.

— Ale czemu ja? Mnie nikt nie usłucha. Niech pan wejdzie.

— Ale tam są dzieci! Jakże ja wezmę ich na śmierć? Ja też mam dzieci.

Urzędnik rzuca się na policjanta i zaczyna go ściskać.

— Tyś dobry, powiedz, tyś dobry? Chodźmy stąd. Schowajmy się gdzieś. Po co mamy brać tych ludzi?

— Daj spokój, — policjant ogląda się trwożliwie — daj spokój. Co robisz? Ktoś może zobaczyć. Mam rozkaz dostawienia 150 ludzi. Jestem za to odpowiedzialny. Ja mam dzieci.

Waha się. Jeszcze chwila, a odejdzie.

Wtem ojciec rodziny, chcąc wyzyskać sytuację, przypada do nóg policjanta i obejmując je, woła:

— Panie łaskawy, nie gub pan niewinnych ludzi. Całe życie pracowałem, podatki płaciłem. Za co? Za co?

Ale czy to, że błagalna natarczywość tego współubranego człowieka pobudziła go do oporu, czy też jęczący głos przypomniał mu o własnym autorytecie, dość, że policjant odtrąca go mocno, aż ten upada na wznak i rozjuszony tym nieodwołalnym już gestem, woła:

— Precz! Zbierać mi się natychmiast i wychodzić. Daję wam 3 minuty czasu, inaczej was tu powystrzelam jak psy.

Tymczasem urzędnikowi zmięty arkusz, który trzyma w ręku, przypomina o funkcji wybawiciela. Na spisie wyłączonych z akcji pod adresem domu, gdzie się obecnie znajdują, figuruje nazwisko Rosenblum.

— Czy pan — woła ożywiony nagłą nadzieją — nie nazywa się Rosenblum?

— Nie — odpowiada tamten uradowany. — Ja się nazywam Rosenblau. To pomyłka. Państwo szukacie Rosenbluma. Tutaj nie ma takiego. Ja niewinny jestem. Całe życie podatki płaciłem.

— Ale nie o to chodzi. Pod waszym numerem powinna mieszkać taka rodzina i ta jest wyłączona z akcji. Błagam pana, niech się pan nazywa Rosenblum.

— Czego pan chce ode mnie? Co ja panu zrobiłem? Ja się nazywam Rosenblau, a nie Rosenblum.

— Czyż pan nie rozumie, że jedyną szansą ratunku jest, żeby się pan tak właśnie nazywał? No, niech się pan przyzna.

— Panie — szuka tamten obrony u policjanta — czego on chce ode mnie? Ja się nazywam Rosenblau, a nie..

— Rosenblum, czy Hosenblum, — ryczy ten nieludzkim głosem — jazda! A ty — zwraca się do urzędnika — nie próbuj mi przekręcać tego, co napisane, bo...

Rodzina gotuje się do wymarszu. Matka drżącymi rękoma naciąga dzieciom skarpetki, ojciec pakuje prowiant do plecaka. Sprawa jest już przesądzona i przedstawiciele władzy przestają się nią interesować. Policjant otwiera szafę, wyciąga z niej tuzin chusteczek. Milicjant zagląda pod łóżko, znajduje tam buty, przymierza je, są dobre, siada na pościeli obok ubierających się dziewczynek, rozsznurowuje półbuciki i naciąga buty.

— Jak panu nie wstyd? — mówi urzędnik.

— At — odmachuje się ten gniewnie. — Daj mi pan spokój, panie Edku, ze swoimi morałami. I tak wszystko przepadnie. Przynajmniej w butach przed śmiercią pochodzę. A zresztą, to jest mój kuzyn i ja po nim dziedziczę.

Ogarek dogasa. Pełnia świeci prosto w okno.

Gdy wychodzą na ulicę, milicjant dotyka z zadowoleniem cholew butów. Policjant z zadowoleniem siąka nos w czystą chusteczkę.

U wylotu ulicy czernieje grupa ludzi, powiększana wciąż bocznymi dopływami. Obok statecznym krokiem spaceruje gestapowiec w towarzystwie 16-letniego Hitlerjunge.

— Ach, das ist eine saubere Arbeit — zachwyca się chłopiec.

Edmund podchodzi do gestapowca, staje na baczność, podczas gdy milicjant przezornie się wycofuje.

— Herr Obersturmführer, — mówi po niemiecku, — myśmy przez omyłkę wzięli ludzi, którzy w myśl rozkazu powinni być wyłączeni z akcji.

— Ach, tak. A to dlaczego? — uśmiecha się dobrodusznie gestapowiec.

— Bo oni się nazywają Rosenblau, a na liście było błędnie podane Rosenblum. A może odwrotnie: oni nie chcą się przyznać do nazwiska Rosenblum, bo myślą, że...

— Ach, to nie czyni najmniejszej różnicy: Rosenholz, czy Rosenklotz. Ha! Ha! To dobre, co? — zwraca się do chłopca. — No, stawać. Uwzględnimy to na miejscu przeznaczenia. A teraz jazda. Ty też — mówi łaskawie do Edmunda — ty też, kochanie. Za twoją praworządność...

Edmund staje posłusznie w gromadzie. Już się roztapia, już spadają zeń resztki osobowości. Żaden przyjaciel nie rozpozna już go teraz, tak podobnego do innych, tak bezimiennego. Myśli o matce, o siostrze. Myśli o pociągu, który go zawiezie w nowy, obłąkany świat. Nie słyszał jeszcze o krematoriach, o komorach gazowych: jest rok pański 1942. Przed nim zieje pustka, stworzona przez niewiedzę, zejście do niewyobrażalnych piekieł, po których snują się ludzie, już dawno umarli. Ostatni raz spogląda ku czerniejącym na świetlistym niebie wieżom kościołów i zarysom gór dalekich. Odwraca się i chwiejnym krokiem wstępuje do formującej się czwórki.

Orgia praworządności szaleje wciąż nad miastem. Rodziny adwokatów oraz doktorów, dowiedziawszy się o akcji, pakują prowiant i jedną zmianę bielizny do plecaków i wychodzą lojalnie na punkt zborny. Plac targowy, pusty przed chwilą i ożywiony jedynie przez przemykające się bezszelestnie koty, zapełnia się maszerującymi kolumnami. Ciemność staje się gwarna i tłoczna.

Jedyną niepraworządną istotą w mieście jest obecnie Fifi, mały rasowy pinczer, który wskutek posiadania nierasowego pana musi siedzieć pod podłogą w skrytce. Pan jego jest adwokatem, pani — adwokatową. Oprócz nich znajduje się tam jeszcze czteroletnia Ada, bardzo zadowolona ze zmiany warunków mieszkaniowych, która, nie zwracając uwagi na przerażone gesty rodziców, rozkopuje łopatką ziemię w kąciku. Bawi się w skrytkę.

— Ale ty mnie nie zdradź — mówi szeptem do Fifi, grożąc mu palcem. Ale Fifi zgoła nie zamierza zachowywać się, jak na psa adwokackiego przystało, tzn. siedzieć cicho lub też z milczącą godnością wyjść na punkt zborny, gdzie by go niewątpliwie wyreklamował jakiś dobroduszny esesowiec. Fifi zwęszył na ulicy kolegę. Jest nim nierasowy esesowski kundel, który biegnie za patrolem, znudzony bardzo pustką ulic i brakiem jakiejkolwiek godziwej rozrywki, jak np. szarpanie nogawic. Wściekłe ujadanie Fifi wywołuje słuszny lęk pana, który w celach zapobiegawczych ściska drżącymi palcami kosmate gardziołko. Fifi, jak każde stworzenie, umiera niechętnie. Drapie nóżkami pana w brzuch, usiłując równocześnie polizać go w twarz. Patrol esesowski przechodzi tymczasem, nie zwróciwszy uwagi na podziemne ujadanie. Fifi leży na kolanach mecenasa, charcząc i tocząc z pyszczka krwawą pianę. Panu teraz wstyd przed psem. Jakże mu spojrzeć w oczy po tym, co między nimi zaszło? I aby uniknąć wstydu, kończy rozpoczęte, choć teraz już niepotrzebne dzieło. Psi trupek stygnie na kolanach z wywalonym chropawym językiem. Nierozumny! A mógł być psem esesowca.

Tymczasem przed opustoszałe domy zajeżdżają sprawnie rzędy samochodów, z których wyskakują dziarscy esesowcy. Jeden z nich zbliża się do dowodzącego kolumną gestapowca i podnosi prawą rękę:

— Hei'tler.

— Hei'tler.

— Potrzeba mi 10 ludzi do ładowania mebli.

— Dobrze. Proszę wybierać.

Esesowiec podchodzi do kolumny, która automatycznie zwraca się ku niemu frontem. W ręku szpicruta, wargi w ciup. Dziesięć machnięć, dziesięć gwizdnięć, dziesięciu ludzi występuje z szeregu.

— Glückauf! — woła życzliwie gestapowiec w ślad za Edmundem, który należy do dziesięciu wybranych.

— Na pierwsze piętro! Brać meble i ładować na auta!

Tragarze, starając się nie patrzeć na ruszającą kolumnę, biegną po schodach do opustoszałych pokoi, gdzie świecą się jeszcze niezgaszone lampy, otwierają szafy i stają na chwilę odurzeni zapachem naftaliny, olśnieni białym bogactwem obrusów, serwisów, sreber. Ale już z pierwszą wyrzuconą dnem do góry szufladą obojętnieją; już lecą na podłogę bez różnicy koszule, ubrania, zegarki; już brodzą ze złą radością w grubej warstwie tego, co niedawno było ludzkim życiem. Jakiś esesowiec wpada do pokoju: — Was gafft ihr? Los. — Zrywają się. Policzki mają wydęte od porwanych mimochodem z kuchni kostek cukru i kawałków masła. Biegiem znoszą po schodach meble, naczynia i pościel w takt komendy i spadających miarowo na ich plecy pałek. Starannie, aby czego nie uronić, składają każdy gatunek dobytku na specjalny samochód.

Edmund, który dźwiga wspólnie z tragarzem biurko, potyka się na zakręcie schodów i wypuszcza je z rąk. Słysząc łomot, esesowiec oburzony marnotrawstwem dobra publicznego dopada do tragarza, którego ma pod ręką i okładając go żwawo szpicrutą, powtarza w formie nauki moralnej:

— Wir sind keine Bolschewisten, um Möbel kaput zu machen.

— To ja zrobiłem — mówi lojalnie Edmund.

Przecisnąwszy się obok biurka, esesowiec przyskakuje do Edmunda. To, że ktoś wmieszał się w jego jurysdykcję, że śmiał dyskutować o słuszności jego uderzeń, przekracza dlań miarę wszelkich wykroczeń.

— Kogo bić należy, o tym decyduję ja, ty...

Świst szpicruty. Lecz Edmund czuje tylko pierwsze uderzenie. Krew, która rzuca się natychmiast do ust, działa kojąco. Tylko wciąż bezbolesna burza nad głową i twarz esesowca we mgle z zagryzionymi wargami. Dojrzał krew; lewa ręka mąca koburę rewolweru: chce wykończyć. Wtem wzrok jego pada na biurko. A kto je doniesie na dół?

Świst ustaje.

— Brać i nieść dalej!

Edmund chwyta naderwane biurko i wciąga je z trudem na samochód. Rozgląda się

STEFAN FLUKOWSKI

PRZEJŚCIE

Wsparty o grzbiet tygrysa wkroczyłem do sali Ech,
przede mną słoń różowy pergamin w trąbie niósł,

nade mną ciężki od gwiazd toczył się złoty wóz,
za mną moje pomysły niosło murzynów trzech.

Przede mną wielki pergamin dźwigał najmędrszy ze słoni,
spisałem na nim poemat nim w noc zdążył zmienić się zmierzch,

nim gwiazda spadła na ziemię, nim kwiat z łodygi pierzchł,
nim lampart zdołał skoczyć, nim lew swą zdobycz dogonił.

Przed słoniem różowym jak zorza szła wszędzie wrzaskliwa wieść
i biła laską z hebanu w liliami wieńczony tamburyn

aż się ocknęły trzy miasta— Toledo, Turek i Turyn,
i posłuchały mej pieśni a taka była jej treść:

Proszę was, moi panowie,
spocznijcie na tej chmurce
a ja wam zaraz opowiem
dla kogo ten pomnik na górce.

Czy znacie me imię — Yama?
Czy znacie mój wiek — Stolat?
Mą matką jest moja mama,
tatusiem dobry ksiądz oblat.

Więc rosłem gdym raz się urodził,
potężny Jałowców wódz,
i tylko los — mój dobrodziej —
auzony mi dmuchał do pluc.

I byłem jak balon nadęty,
jak nowa dzielnica w mieście,
bujałem na morzu okręty,
to ja się rozpycham w cieście.

Więc proszę was, moi panowie,
spocznijcie na tej chmurce,
a ja wam zaraz opowiem
jak ogon bieleje wiewiórce.

I to wam jeszcze poradzę:
spamiętać z żywota rachunku
główne pozycje — zeszłoroczne sadze,
stolicę Peru i dowódcę pułku.

Tyle mej pieśni o świecie
gdy go w przekroju ujmuję.
Myślicie, że na was kto leci,
poklasku szuka? Bez obaw. Dziękuję.

Wsparty o grzbiet tygrysa przeszedłem już salę Ech,
Przede mną słoń różowy pergamin w trąbie niósł.

Nade mną pełen gwiazd toczył się złoty wóz,
za mną moje pomysły murzynów niosło trzech.

Przez nowe sale szedłem, potężniał człowieka śpiew
aż słoń różowy ostygł i stał się popielaty,

i tygrys się ugiął i upadł, murzynom odpadły krawaty
a ja wciąż szedłem i szedłem — cierpienie, niedola i gniew.

A kiedy wreszcie nie stało rzeźbionych w nefrycie portyków
po łąkach rosą srebrzystych rozsnuł się ślad moich stóp,

o zmierzchu jastrząb spikował i uniósł ze sobą łup,
błękitne niebo pierzchło i rozpacz była w mym krzyku.

dokoła: nikogo. Esesowcy zajęci są bobrowaniem po szafach. Miesiąc zaszedł. W ciemności szemrze granica wyklętego miasta, rzeczka. Na brzegu z lewa widać ognik. To jakiś policjant pali papierosa. Ominąć go, przebrnąć przez wodę, a tam, po drugiej stronie — zboża, drzewa, proste domy w powodzi sadów, przyjaciele — świat.

*

Na ulicy Ogrodowej jest willa pod blachą, skryta wśród jabłoni, na których pęcznieją już zalążki owoców. Wschodzące słońce napełnia okna różami i fioletem. Lecz jej wnętrze dalekie jest od sielanki. Pani domu, lecitwa, lecz wciąż jeszcze fertyczna radczyni, nieuczesana, w szlafroku w kwiatki, z papierosem w ustach, biega tu i tam po pokoju. W kącie stoi z opuszczonymi rękoma młody, czarnowłosy mężczyzna.

— Nie, tak dłużej być nie może. Ani chwili dłużej.

— Ależ, droga pani, przecież to biały dzień. Gdybym był wiedział godzinę temu, zaraz kiedy przyszedłem. Jakżeż ja teraz wyjdę i dokąd?

— A skądże ja mam wiedzieć, dokąd pan wyjdzie? Ja przecież nie mogę myśleć, a tym bardziej ginąć za kogoś. Gdybym wiedziała dawniej, że pan bez uwagi na mój spokój będzie nas nawiedzał po nocach, nigdy bym nie pozwoliła Romkowi przyjaźnić się z panem.

— Ale dlaczego ginąć? Dlaczego zaraz ginąć? Przecież tu nikt nie chodzi. Ta ulica jest bezpieczna.

— Właśnie dlatego tutaj będą najbardziej szukać. A zwłaszcza w moim domu. Do mego domu przyjdą... Policja... Do mego domu... Strzelili... pan słyszy?

— Ależ, droga pani, ja przecież przyszedłem parę dni temu zapytać, czy podczas akcji nie mógłbym być u państwa. Pani się zgodziła...

— Cóż z tego, że się zgodziłam? Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że będą szukać na tej właśnie ulicy.

— Ależ tu nikt nie szuka.

— Nie szukają, to będą szukać. Zobaczy pan.

Radczyni spogląda na czarnowłosego mężczyznę i na widok jego pokiereszowanej twarzy ogarnia ją nagłe współczucie. Jest przecież kobietą.

— Dobrze już, dobrze. Ale pan nic nie jadł. Zaraz panu przyniosę.

— Nie, nie, dziękuję.

— Ale zje pan, koniecznie pan zje.

Wybiega do kuchni i przynosi pełny talerz wczorajszych pierogów. Po chwili przypomina sobie, że nie wypada podawać bez nakrycia, otwiera szafę, wyjmuje obrus i zaściela stół.

Czarnowłosy mężczyzna wie, że powinien odmówić. Należy być dumnym. Ale przede wszystkim jest bardzo głodny. Więc siada i je.

Pani domu przygląda mu się z niekłamanym zadowoleniem.

— Dobre, co? Sama gotowałam. Niech pan je, niech pan się dobrze naje. Nie wiadomo, gdzie pan dziś wieczorem będzie jadł. Może pan jeszcze pozwoli? Pierogów pan już z pewnością nie zobaczy. Niech pan je, niech pan je.

Wybiega do kuchni po drugi talerz. Z sypialni wysuwa się nieuczesana, bez przedziałka, głowa Romka. Jest to syn radczyni, przed wojną sceptyk bez wąsów, dziś mistyk z wąsami.

— A co ty tu robisz? Czemuś taki pokrwawiony?

— Nie słyszysz, jak strzelają? Akcja.

— Akcja? — Romek blednie nieco. — Akcja? I jakżeś ty się tutaj dostał?

— Dużo by gadać. Uciekłem im z rąk, przeszedłem przez rzeczkę, a potem zbożem — aż tutaj. Przecież umówiliśmy się, że w razie akcji przyjdę do ciebie.

— No tak, ale... No i co?

— No i nic. Matka twoja chce, abym natychmiast stąd odszedł.

— Odejść stąd? Nigdy, póki ja tu jestem. Nie na to jadaliśmy tyle lat ze wspólnej misy. Co mama wyprawia? Jak mama śmie wypędzać Edka?

— Śmie? Jak się ty wyrażasz do matki, która cię własnym mlekiem wykarmiła? Tyle dni, tyle nocy nieprzespanych po to, żeby własny syn mówił teraz do mnie „śmie". Całe życie ci oddałam. I za to nagroda „śmie". O, nie mogę, nie mogę.

Zanosi się płaczem i pada na łóżko, tzn. mdleje. Syn rzuca się, by ją cucić. Gdy wreszcie matka otwiera oczy i zapala papierosa, wyprowadza dyplomatycznie przyjaciela do drugiego pokoju.

— Słuchaj, Edziu, musimy znaleźć jakieś wyjście. Wiesz przecież, matka... Mnie jednego ma. I ta ulica jest niebezpieczna. Tu ciągle chodzą patrole. Musimy coś uradzić. Najlepiej, gdybyś poszedł na stryszek do komórki. Tylko prawda, że tam mieszka praczka i wszystko będzie słyszeć. Albo — mam świetny pomysł. Pójdziesz na strych do nas. Tylko prawda, że mama nosi zawsze klucze przy sobie. Najlepiej było by, gdybyś wszedł po prostu do szafy, a ja bym cię zamknął na klucz. Tylko prawda, że mama otwiera szafę dziesięć razy na dzień. Zastanówmy się, zastanówmy się. Chwileczkę. Wiesz co? Może byś po prostu wyszedł stąd nieznacznie, tak aby nikt nie zauważył, skąd wychodzisz. Masz tylu przyjaciół. Tędy teraz nikt nie chodzi.

— Przecież sam mówiłeś, że tu chodzą patrole.

— Mówiłem, że będą chodzić. Na razie jest spokojnie. Ja rozumiem, że to przykre, ale... Muszę mieć wzgląd na matkę. Ją jedną tylko mam. Jej życie jest mi droższe ponad wszystko. Cóż zresztą warte jest to nasze życie? Przecież nieraz ironizowaliśmy na ten temat, pamiętasz? Vanitas vanitatum itd. A zresztą możesz się śmiać ze mnie, ja teraz wierzę w Boga, a jeżeli nie w Boga, to w jakąś siłę wyższą. Ja wiem, że dla ciebie w obecnym położeniu jest to niepojęte, ale Bóg nie wgląda w drobne niesprawiedliwości świata. On kieruje całością. Patrz, jaki świat jest piękny. Kwiaty pachną, ptaki śpiewają, słońce świeci. Czyż to możliwe, aby wszystko to było dziełem przypadku? Popatrz na tę rosę na liściach, na gąsienicę na drzewie. Nie, Bóg jest i trzeba się poddać jego wyrokom. A zresztą, spodziewam się, że dasz sobie jakoś radę.

Romek wychodzi z pokoju, by dokończyć cucenia matki. Poza tym musi się ogolić, napudrować i naperfumować, gdyż na 10-tą jest umówiony z córką aptekarza, sympatyczną blondynką.

Edmund nie oczekuje już jego powrotu. Zniósł pierogi i omdlenie, ale rozmowa z tym wierzącym jest ponad jego siły. Chyłkiem, skradając się, by nikogo nie skompromitować, wychodzi przez werandę do ogrodu, pełznie pod krzakami agrestu, aż wreszcie wydostaje się na ulicę.

Z sąsiedniego podwórza wychodzi kobieta z dzieckiem na ręku. Za nią patrol.

*

Znacznie niższy poziom kulturalny niż w willi pod blachą, panuje w sąsiednim domku pod gontami, gdzie obok mieszkania znajdują się zabudowania gospodarskie: oficyna, stajenka, stodoła. Na podwórzu — bróg zbożowy z wetkniętymi widłami i żuraw studzienny. Gospodarz, znajdujący się obecnie na strychu nad oficyną, mówi szeptem do kogoś niewidzialnego:

— Czegóż się, do cholery jasnej, słomą lepiej nie zakryjecie? Tu jeszcze jeden snopek — i tutaj... Za dwie godziny jużeście całą słomę wygniotły. Wyście nawet nie słyszały, co się tu działo w nocy. Przelazła przez płot na moje obejście jakaś zmora. Niby ta adwokatowa, co dawniej koło nas mieszkała, z dziewczynką, tą małą Adą. I żeby prosto do mnie, a to najpierw musiała zajść do Mielniczkowej, tej jędzy, i do wołowatej Strzelbickiej.

— I co pan zrobił? — niebieskie oko wyziera spoza snopów.

— A co miałem zrobić? Wyrzucić na pewną śmierć, czy co? Zamknąłem w oficynie, niech se siedzi, póki co. Tylko na miłość boską, leżcie cicho, żeby tamta was nie słyszała, bo nigdy nic nie wiadomo. A pani niech nie płacze za synem, bo to słychać na dole. Pani Edek też tutaj trafi, zobaczy pani.

— A pan się boi? — pyta głosik córki spod słomy.

— A co bym się nie bał? Ty byś się nie bała, gdybyś miała taką biedę na głowie. Dwie na górze, dwie na dole, dopust boży. Czekajcie, zaraz wam mleka...

Z dołu od studni rozlega się gęsty, jak turkot wozu, jazgot babi. To jędza Mielniczkowa i wołowata Strzelbicka roztrząsają zajścia ostatniej nocy.

— Ażeby pani łaskawa wiedziała, że u mnie też była. Akurat mój stary wrócił zalany, a ja do niego: „Co ty, golibrodo zakazany, sumienia nie masz, żeby ślubną żonę na śmiech ludzki wystawiać", a on do mnie: „Za swoje piję, nie za cudze", a ja do niego z miotłą, a tu słyszę: ktoś puka we drzwi. Otwieram, stoi ta z dzieckiem, powiada, że ich ze skrytki z mężem wzięli, że męża zabili, a ona z dzieckiem uciekła. I pomyśl pani, pyta, czy bym jej nie przenocowała. Wielki gwałt, — mówię — że ci męża zabili. Mnie by mojego zabili, i anibym pacierza nie zmówiła po pijaku zatraconym. Wont — mówię — wont! I ani mi się na oczy pokazuj! I co z tego, że ty adwokatowa? I ja bym adwokatową była, jakbym szkoły miała. Idźże se — mówię — na cztery wiatry, pókim dobra. A co, a co jej pani łaskawa powiedziała?

— Nic nie powiedziałam, tylko mówię: „To ty sumienia nie masz ludzi po nocy napastować? Ja cały dzień ciężko haruję, na targ wynoszę sprzedawać, a ty mi jeszcze spać nie dasz?"

— I poszła?

— Poszła.

— A gdzież ona mogła pójść? Ha?

— A gdzieżby, jak nie do tego farmazona pod bokiem? Patrzałam za nią i wszystko widziałam. Przelazła przez płot na jego podwórze.

— A gdzież się ona podziała? Na podwórzu jej nie ma

— A co by miała być na podwórzu, kiedy on sam do niej wyszedł i jeszcze ją, niby jaką panią, do oficyny zaprowadził. Farmazon, Boga się nie boi, na mszę świętą nie chodzi. Sama widziałam.

— A ja widziałam, jak niósł garnek mleka do oficyny.

— No i widzi pani, widzi pani.

— Pewnie mu już za to mleko parę tysiączków wybuliła.

— I na co im tyle pieniędzy? Mało to mają? Krowę, konia, świniaka niekolczykowanego. Wiadomo, kto ma, temu zawsze przybywa. Nie bój się pani, nam się taka okazja nie trafi.

Z okien wychylają się rozczochrane ze snu głowy kobiet, zbudzonych donośną i interesującą rozmową. Z naprzeciwka wygląda policjantowa, której mąż pełni właśnie służbę.

W oficynie kobieta tuli dziecko do piersi.

Na strychu gospodarz zasypuje gorączkowo kogoś snopami, zeskakuje i wybiega na podwórze. Widzi przechodzący ulicą patrol niemiecki. Słyszeli czy nie słyszeli? Jeśli słyszeli, zginie on z żoną i dziećmi, dwie kobiety na górze, kobieta z dzieckiem na dole. Jeżeli nie... tak, czy owak zginą. Pogłoska rozejdzie się migiem po ulicy. Z naprzeciwka wygląda policjantowa. Uśmiecha się ścierwo! Za godzinę będzie rewizja. A Mielniczkowa patrzy w ślad za odchodzącymi Niemcami, zastanawia się, czyby nie pobiec za nimi.

Wchodzi do mieszkania. Żona, już ubrana, wita go przerażonym spojrzeniem. Dzieci jeszcze śpią.

— Zginiemy wszyscy przez ciebie.

— Idź do krowy. Słyszysz, jak ryczy? Chce się doić.

— Ale, Janku, słyszałeś co jędza z wołowatą mówiły? Mielniczkowa już gdzieś pobiegła.

— Do krowy idź — mówi Jan takim głosem, że żona czym prędzej bierze skopiec i wychodzi do stajni.

Po chwili Jan jest znowu na podwórzu. Już odzyskał spokój. Wspina się na stryszek.

— Leżcie teraz cicho i ani mru-mru. Tu będzie policja za chwilę.

— Policja? Nie trzeba. My same się zgłosimy i powiemy, żeśmy tu przyszły bez waszej wiedzy.

— Do cholery z zawracaniem głowy. Leżcie cicho.

Jan zeskakuje. Po 5 minutach wraca z esesowcami, którym tłumaczy coś, gestykulując zawzięcie:

— Hier... bei mir... Frau mit Kind. Kommen... in Nacht. Wollen melden, nicht können. Jetzt melden... in der oficyna...

Kobiety na strychu słyszą pod sobą stuk butów, czyjś szloch i westchnienia, głosy: „Raus, raus, aber prenko; sonst schiess ich". Drzwi zatrzasnęły się. Skrzypnęła furtka. Wiatr bije gałęzią jabłoni o dachówki. Nagle słychać głos „Halt". Pada strzał. Znowu cisza.

Wtem wzdrygają się. Szelest słomy. Esesowcy. Nie, to Jan zziajany, z żyłami napęczniałymi na skroniach.

— Odkryjcie się trochę, żebyście się nie zadusiły. Wydałem tamtą, żeby ratować resztę. Powiedziałem Niemcom, że ją wziąłem naumyślnie do oficynki, żeby ją wydać. Jeszcze pożegnała się ze mną. Nie wiedziała, że to ja... Trudno, taki czas. Ot, teraz jeszcze jednego zabili pod moim domem. — Wychodził z drugiego podwórza. At! — macha ręką — było nie było. Lepiej, żeby dwie, niż wszyscy. Trzeba ratować, co się da. Czekajcie, zaraz wam mleka przyniosę.

*

Jest już godzina dziesiąta i słońce praży z wysoka. Noc praworządności dawno minęła. Naładowane pociągi mkną na północ. Na placu targowym, stoi samotny człowiek w nowych butach, w milicjanckiej czapce, wodzi oczyma dokoła, widzi okna rozbite, drzwi wywalone, wreszcie wyciąga z kieszeni coś błyszczącego, przechyla do ust i ciągnie długo. długo. Pani radczyni, spacerując po ogrodzie, zrywa pomidory na obiad. W parku na ławce siedzi Romek u boku blondynki i czyta jej swoje utwory.

Jan wychodzi w pole na żniwa.

Artur Sandauer

JAN A. SZCZEPAŃSKI

O góralach i „Goralach"

PUNKT WYJŚCIA

Dyskusja na temat górali podhalańskich trwa. Rozporządzenia i projekty mnożą się. Wydaje opinie i stawia wnioski Krakowska Wojewódzka Rada Narodowa, włącza się w bieg spraw Ministerstwo Sprawiedliwości, miesza się administracyjnym porządkiem Ministerstwo Administracji, po dziennikach w rozmaitym duchu wypowiadają się dziennikarze, oskarżają powołani i niepowołani, bronią się i oskarżają górale, w „Odrodzeniu" (nr 24) Mieczysław Wionczek usiłuje sprawę ująć z szerszej perspektywy. Ustalają się dwa punkty widzenia: jeden, że górale zostali okłamani przez kilku zdrajców narodu i niemal bez wyjątku do przyjmowania kart rozpoznawczych „G" — symbolu narodowej odrębności — przymuszeni, że zatem należy ich automatycznie zwolnić od winy i kary, po złożeniu przez nich deklaracji lojalności wobec państwa polskiego (takie stanowisko zajęło Ministerstwo Administracji, przesyłając opracowane w tym duchu zarządzenie wojewodzie krakowskiemu do wykonania); — oraz drugi, że góralom należy, rzecz prosta, przywrócić pełne prawa obywatelskie, ale dopiero po indywidualnym postępowaniu rehabilitacyjnym (pogląd niektórych działaczy regionalnych, w zasadzie reprezentowany również przez Krakowską Wojewódzką Radę Narodową, na jej posiedzeniach w dniach 4 kwietnia i 24 maja b. r.).

Dały się słyszeć głosy i trzeciego rodzaju: cicho sza, przejdźmy nad całą sprawą do porządku dziennego, nie zadrażniajmy, nie rozdrapujmy, komu to może wyjść na korzyść? Na to rozumowanie odpowiedzieć najłatwiej: metody strusie, zwłaszcza po wielkich wstrząsach, nigdy nie wychodzą na dobre. Nikt nie zamyśla pomnażać kłopotów góralszczyzny ani tym mniej, domącać zmętniałej wody. Ale weryfikacje są potrzebne nie tylko wśród artystów czy urzędników, a oportunizm nie popłaca w epoce zasadniczej odbudowy i przebudowy. Milion min, które Niemcy pozostawili po sobie, są rozładowywane i rozładowane być muszą nie tylko przez saperów na polach przyfrontowych. Zagadnienie „Goralenvolku" jest regionalne, ale w skali ważności ogólnopolskiej. Nie tylko dlatego, że górale byli i są oczkiem w głowie literatów, artystów, etnografów itp., ale przede wszystkim dlatego, że sprawa górali nabrała nieoczekiwanie podobieństwa do zagadnienia innych „narodów": Masuren, Kaschuben, Schlonsaken i Wasserpolaken. Że stworzyli ją Niemcy? Ale my już nigdy w przyszłości nie chcemy mieć Ślązakowców czy wyborców niemieckiego Centrum. I chcemy mieć górali, a nie — Gorali. Zdaje mi się, że takie właśnie jest nastawienie ogółu, i stąd żywotność i szerokość zasięgu dyskusji o góralach, mimo szybkości obrotu wydarzeń i mimo, że obywatele — jak się to mówi — uginają się pod troskami dnia codziennego i na rychły osobisty kontakt z góralszczyzną nie liczą.

DO ŹRÓDEŁ „GORALENVOLKU"

Jest zbyt daleko idącym uproszczeniem doszukiwać się — jak to czyni Wionczek — pomysłu stworzenia odrębnej narodowości góralskiej w faszystowsko-niemieckim instynkcie zabawy (nawet z powołaniem się na Znanieckiego i Huizingę) — lub, przeciwnie, powiedzieć: nie wiadomo, nie wiemy „kto i kiedy wymyślił koncepcję goralenvolku", „Bóg jeden tylko wie i jego aniołowie". Sprawa jest i prostsza i bardziej zawiła. „Nie chodziło tu chyba o rozbijanie narodu polskiego na części" — owszem, chodziło, bo „dobra psu i mucha", a zagadnienie „goralenvolku" należy rozpatrywać w łączności ze wspomnianymi „plemionami nowoniemieckimi" i w szczególności w związku z innymi mniejszościami narodowymi na terenie GG (choć miało być ono — do czasu — „ojcowizną Polaków"). Hans Frank nie wymyślił „Goralenfrage", pchnął ją tylko naprzód, doprowadzając do ostatecznych antypolskich konsekwencyj. W stosunku do zagadnień polskich Niemcy mieli plany od dawna opracowane i uzgodnione. Ich teza o istnieniu między Polakami a Niemcami szeregu odprysków plemiennych, grawitujących ku niemczyźnie i najczęściej duchowo zniemczonych, jest też nie nowa: pochodzi jeszcze z okresu pobismarckowskiego, hakaty i idei „Neudeutschlandu", której zrealizowania natrętnie domagał się w czasie pierwszej wojny światowej Ludendorff, a w czasie trwania drugiej zrealizował przejściowo Hitler. Pomysł „Goralenvolku" był w zespole tych „dziel i rządź" najpóźniejszy. Ale i on sięga czasów sprzed 1939 r. Tak np. mogę zacytować z książki Walthera Blachetty „Das wahre Gesicht Polens", wydanej w wielkim nakładzie przez „Die Wehrmacht" w Berlinie jeszcze przed wrześniem 1939: „Wyżyny karpackie zamieszkują Górale, dzielny, bohaterski naród... z pogardą patrzący na Polaków z nizin" i dalej: „Jeszcze dzisiaj u plemion słowiańskich, które się ostały, jak np. u Czechów, Słowaków, Górali, Kaszubów, daje się zauważyć okrutnie mało (verdammt wenig) miłości do Polaków". O podbudowę naukową nie było trudno. Alboż L. Hauptmann w pracy „Kroaten, Goten und Sarmaten" nie przyjął już w 1935 r., że resztki Kwadów, zepchnięte na Podhale, dały początek tamecznej ludności? Po cóż zresztą sięgać do badań zagranicznych, kiedy znajdą się i polskie przydatne (zwłaszcza jeśli się je należycie zaadaptuje). Przecież to polski prehistoryk, Włodzimierz Antoniewicz, w rozprawie „Metalowe spinki góralskie", równie gorliwie jak pochopnie zestawił motywy, „które zniewalają do przyjęcia przypuszczenia", że owe spinki są „reliktami form fibul gockich z okresu wędrówek ludów"; chociaż więc po Gotach napłynęły gęstsze fale osadników lechickich. „nie zdołały one zatrzeć wpływów i reliktów gockich". Prof. Kostrzewski z właściwym mu temperamentem pisał o takich pracach, że „złą przysługę oddają nauce ci — na szczęście nieliczni — prehistorycy polscy, którzy nie mogąc zdobyć się na własny krytyczny sąd, bezmyślnie klepią za panią matką Germanią niemiecki pacierz naukowy". Ale „Metalowe spinki góralskie" były dostępne w druku od 1928 roku.

CO Z TEGO WYNIKŁO

Zajmując tedy Podhale Niemcy przychodzili z gotowymi planami. Do wyodrębnienia narodowości góralskiej przystąpiono natychmiast, ze wszystkimi tego posunięcia skutkami (werbowanie do wojska, osobne szkolnictwo góralskie, akcja wysiedlania obcego elementu tj. nie-Podhalan, odrębne karty rozpoznawcze dla tubylców, odmienna, przynajmniej z pozoru, polityka kontyngentowa, itd.). Nie było by w tym nic szczególnie dziwnego, gdyby nie reakcja pewnego odłamu górali, od razu pozytywna względem nowegu kursu, od razu quislingowska. Żwawo zakrzątnięto się około założenia centralnego „Goralisches Komitee", do którego weszli przedstawiciele starych ro-

dów góralskich: na jego czele stanął ambitny warchoł, pijak i mętna głowa, ale bądź co bądź regionalny działacz, znany z wystąpień przedwojennych — Wacław Krzeptowski. I patronem całego przedsięwzięcia stał się Polak, Henryk Szatkowski, dr praw i wielbiciel nowoczesnej poezji, taternik i narciarz ożeniony z góralką, p. o. naczelnika wydziału turystyki w Ministerstwie Komunikacji, który osiadł teraz na stałe w Zakopanem, w roli szefa komisji uzdrowiskowej, a w istocie jako wielemożny kacyk.

Już w październiku 1939, przy obejmowaniu przez Franka urzędu generalnego gubernatora, wśród hołdowników znalazła się delegacja górali. Później niesławne dzieje „Goralenvolku" potoczyły się znanym torem: deklaracje lojalności i wierności dla Führera Wielkoniemieckiej Rzeszy, dostawa mięsa armatniego, pijatyki i nadużycia, łapanie zwolenników, organizacja przyznawania kart rozpoznawczych „G", wiwaty dożynkowe... Już na wiosnę 1940 r., na pierwsze imieniny Führera w GG, obok delegacji faszystów ukraińskich z osławionym prof. Kubijowiczem na czele, stawiła się pilnie reprezentacja górali, wręczając na ręce Franka jako upominek wiernopoddańczy dla Hitlera piękny sąsiek góralski (ukradziony J. Oppenheimowi, kierownikowi Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego), przy czym Krzeptowski palnął mowę, pełną utyskiwań na byłe rządy polskie a podziękowań, życzeń i błogosławieństw pod adresem Franka i Hitlera. Dalej nie ma co śledzić wyczynów „Goralisches Komitee". Narodowa odrębność górali była „udowodniona" i wyrazem jej stał się urzędowy artykuł, który Niemiec dr Heinrich Schatkowski (ten sam! — prawa ręka A. Bobkowskiego, zięcia I. Mościckiego) ogłosił w czasopiśmie „Das Generalgouvernement". Nie było tam wprawdzie powiedziane wyraźnie, że górale to germańska resztówka i w ogóle szczep niemiecki, ale autor stwierdzał, że górale są skrzyżowaniem dwu głównych fal kolonizacji niemieckiej (z 13 i 14 wieku) z późniejszą o wiek kolonizacją wołoską. Polacy — „forytowani przez starostów" — zaczęli licznie przybywać dopiero w 16 i 17 wieku. Odkrycie górali w 19 wieku przyniosło im szkodę, masowo osiedlili się na Podhalu niegórale i Żydzi („Nowy Targ był w 1938 r. małym rajem żydowskim"). Nie omieszkał też Szatkowski-Schatkowski zaznaczyć perfidnie, że „w samym tylko 18 wieku umieli górale trzykrotnie walczyć o swą wolność z bronią w ręku, zdobywali grody królewskie i przepędzali królewskie wojska", co wespół ze wzmianką o „wielkim góralskim powstaniu pod wodzą Kostki Napierskiego" miało budzić w czytelniku przekonanie, że górale byli istotnie mniejszością narodową, stale, konsekwentnie i czynnie przeciwstawiającą się wszystkiemu, co polskie.

To ujęcie stało się obowiązującym kanonem, a jaskrawy wyraz dał mu „sam" Hans Johst, prezydent „Reichsschrifttumskammer" w książce reportażowej „Ruf des Reiches — Echo des Volkes". W styczniu 1940 r. odbył Johst podróż po Polsce (czyli po GG), gościł u Franka na Wawelu (przepraszam, na Zamku Krakowskim) i spał w sypialni Prezydenta Rzeczypospolitej, co z należytym sarkazmem opisał. Potem wraz z Himmlerem i innymi przybył do „Goralenlandu", gdzie zamieszkał w „Haus Krakau" (tj. na Kalatówkach). Krzeptowski wystąpił w pełnej gali, tańce, hulanki, swawola. Johst był wzruszony: „Germańskiego pochodzenia, uchował się ten szczep góralski w głębi dolin tatrzańskich, w ścisłym wyosobnieniu... mówi swą własną mową i nienawidzi wszystkiego co polskie i żydowskie... Wódz górali jest dumnym i wolnym człowiekiem... W swej surowej mowie człowieka gór zwraca się do Reichsführera SS i przyrzeka mu szczerą, męską wierność dla państwa Adolfa Hitlera... Szczęśliwi są górale, że ich góry, a tym samym ich serca, znalazły wreszcie swego prawowitego, ostatecznego pana: Führera"... Ostateczny kształt nadał tej osobliwej „prawdzie" dr Max Freiherr du Prel w wysoce urzędowej (z przedmową Franka itp. szykanami) publikacji „Das General-Gouvernement", wydanej w 1942 r. Opinia autora ustępu o góralach jest krótka i precyzyjna: „Ich (górali) poczucie plemienne i regionalne jest rozwinięte bardzo silnie i przewyższa o wiele świadomość przynależenia do narodu polskiego. Siła tego poczucia, obok innych przytoczonych odrębności, bez wątpienia upoważnia do wyróżnienia górali jako osobnego szczepu." Od takiego werdyktu nie było odwołania, od takiego ujęcia nie mogło być wyjątku.

Ale Wionczek powołuje się na uczonego dr Antona Plügela, którego obszerna praca „Die podhalanischen Goralen" ma jakoby „punkt po punkcie zbijać zasadnicze tezy o germańskim pochodzeniu górali". Przeczytałem uważnie studium naukowca niemieckiego z epoki Hitlera i nie mogę podzielić zdania Wionczka. Wprawdzie bowiem Plügel jest sceptyczny co do wpływów gockich (zapowiada na ten temat specjalną rozprawę, która, jak podkreśla, zmusi „die Gotenthese fallen zu lassen") i również znaku swastyki, stosowanego niekiedy w ornamentyce góralskiej, nie uważa za nieodparty dowód pochodzenia germańskiego, ale mimo tego „przedsłowiańskie elementy" etniczne u górali dostrzega wyraźnie, a rzecz w tym tylko, że obecność krwi germańskiej u górali wyjaśnić można „ze znacznie większym prawdopodobieństwem" średniowiecznym osadnictwem niemieckim na Podhalu. Skoro więc samo zagadnienie jest przesądzone, pocóż sięgać do wątpliwych Kwadów, Wandali czy Gotów? Dopiero „szkoła z polskim językiem nauczania stała się podobnie jak kościół narzędziem polskiej propagandy narodowej" — wypisuje Plügel. Albowiem „Gorale byli przez Polaków bez ceremonii traktowani jako szczep polski, a cechy ich etniczne podane jako polskie. Tylko przesadna gorliwość, z jaką to czyniono, pozwala przyjąć, że polska polityka bynajmniej nie była przekonana wewnętrznie o słuszności tezy, z taką dogmatyczną pewnością głoszonej, lecz starała się usilnie przeszkodzić obudzeniu się poczucia narodowego u Gorali". Plügel przyznaje co prawda, że akcja ta powiodła się Polakom: „Poczucie samoistności narodowej nie rozwinęło się u Gorali i, na skutek długiej przynależności do prowincji polskiej oraz w wyniku starań kościoła, szkoły i polskiej propagandy, często uważają oni swą odrębność za jedną z polskich odrębności szczepowych." Ale dzieje się to — kładzie Plügel kropkę nad i — „mimo, że zarówno w podstawach rasowych jak ludnościowych (Volkstum) występują (pomiędzy Goralami a Polakami) głębokie różnice". Tyle Niemcy.

ALE CO NA TO SAMI GÓRALE?

Góralom podano tezy o ich germańskim pochodzeniu i narodowej samoistności w uproszczonej i strywializowanej formie: stąd owe „ostre koty", przekręcenie rzekomych Ostrogotów. Do samej propagandy odnieśli się górale rozmaicie i nie zawsze nieżyczliwie. Trzeba jednak mieć na uwadze, że Krzeptowski i jego wspólnicy wzięli się do roboty sprytnie i ze znajomością psychiki swoich krajanów. Wionczek cytuje podstęp Krzeptowskiego, że werbował on młodzieńców do takiego SS, które miało zaciągnąć wartę u grobu Piłsudskiego; innym argumentem Krzeptowskiego mieli być — wedle St. Kaliny w „Dzienniku Polskim" — „śpiący rycerze Tatr, którzy uśpiwszy czujność wroga rzekomą lojalnością wobec państwa niemieckiego, w decydującej chwili runą na wroga i z gór rzucą Polsce hasło do ogólnego powstania". Otóż takie metody agitacji były, ale nie były częste. Częściej postępowano o wiele prościej i na wiecach obiecywano co innego: korzyści namacalne, zmniejszenie kontyngentów, ulgi podatkowe, przejęcie mienia ceperskiego i żydowskiego... Nie o „rycerzy" chodziło lecz o sklepiki, nie o „wartę przy trumnie wawelskiej" lecz o łatwy zarobek. Nie sądźcie przy tym, że obiecywano złote góry (za wyjątkiem Zakopanego, gdzie łupem miały się stać pensjonaty). Sam Krzeptowski wynagrodził się za wierną służbę hurtownią tytoniową (a nie, jak się nieraz pisze, burmistrzostwem Zakopanego, bo na tym stanowisku siedzieli autentyczni Niemcy, najpierw kanaliowaty grzeczny Malsfey, później kanaliowaty chamski Klenert). Umiano również posługiwać się naciskiem ze strony miejscowych folksdojczów (Zawoja) lub perfidnie wyzyskiwać tarcia klasowe między chłopami a obszarnikiem (Łopuszna)... Wionczek pisze, że do pierwszego werbunku niemieckiego zgłosiło się ochotników pięciu. To prawda, ale niepełna prawda. Świadczę się moim bratem, ożenionym z góralką, któremu udzielono zezwolenia na stały pobyt w Zakopanem i który bez złudzeń śledził pierwszy rozkwit „goralenvolkizmu": widział on wówczas o wiele więcej niż pięciu górali, paradujących w mundurach partyjnych, nasłuchał się dość rozmów, by sobie wyrobić trzeźwy sąd o tym, jak było. Momenty wstydliwe? Upiększanie rzeczywistości nigdy nie jest właściwą metodą postępowania, tym bardziej, gdy ta rzeczywistość bynajmniej nie jest upokarzająca.

Jakkolwiek bowiem — o czym nie wolno zapominać — metody agitacji były przemyślne a na opornych miano stale w pogotowiu groźbę wysiedlenia, w ogólnym wyniku agitacja „Goralisches Komitee", prowadzona z należeniem do 1942 r. ale i później kontynuowana, nie wydała spodziewanego przez jej mocodawców rezultatu. W ilu wsiach agitacja napotkała na grunt podatny (i czemu), a w ilu na skuteczny opór, tym bardziej godny szacunku, że wymagający stałej gotowości nie tylko dorywczego zrywu; ilu górali poszło dobrowolnie na lep pokus, ilu z chciwości czy po prostu z głupoty, z indyferentyzmu czy z opacznie pojętego poczucia narodowego zażądało kart „G" — mogłoby wyjaśnić tylko szczegółowe postępowanie weryfikacyjne, oparte o czynnik obywatelski. Ilu zmuszono, moralnie czy fizycznie, a ilu po prostu wpisano na listę góralską, mimo że zgłosili się o dowód polski — to zagadnienie statystyczne. Gdy cały materiał dowodowy będzie zebrany, nadejdzie czas na syntezę. Ale dwa zasadnicze fakty są już wiadome: choć był dość znaczny odłam ludności góralskiej, który okazał się niepokojąco nieodporny na antynarodowe namowy — była zarazem znaczna większość, która czynnie i może bardziej aktywnie niż w innych okręgach udowodniła swą wierność narodowi i swe nie cofające się przed ofiarami poświęcenie dla Polski.

POCHWAŁA WIĘKSZOŚCI

Przeciw naporowi „Goralisches Komitee" i zaduchowi, buchającemu od Krupówek, owa większość broniła się zaciekle i z chłopskim uporem. Wielu szło do lasu i walczyło czynnie, wielu biernym oporem i drwiną. Jedni z bronią w ręku ścigali prononsowanych „ostrych kotów", inni pisali na ścianach domostwa Krzeptowskiego „Wacuś, Wacuś — będzie wisioł za cóś". „Chociażeś Cukier — będzie ci gorzko" układano pod adresem jednego z głównych pomocników góralskiego Führera. Podany przez Wionczka przykład z przewodnikiem Klaperem (co to „ponad stu ludzi na słowacką stronę przeprowadził i zginął przed swą chałupą od żandarmskiej kuli") można wydatnie pomnożyć przykładami z rodziny Marusarzów, gazdy Kojsa z Chochołowa, potyranego po więzieniach jak jego dziad za udział w powstaniu, śmierci Bronisława Czecha w Oświęcimiu i w. in. Większość górali obroniła się i zdała nieprawdopodobnie trudny egzamin z odznaczeniem. Nie będę o tym obszerniej pisał, skoro wyręczają i wyręczą mnie w tym inni. Wolę raczej przejść do

OBRONY Z URZĘDU

tych, którzy przeszli dobrowolnie na wiarę Krzeptowskiego. Czy kierowali się oni wyłącznie grubym wyrachowaniem materialnym, czy też można — przynajmniej wśród niektórych z nich — doszukać się jakichś uczciwszych motywów? Sądzę, że — mimo wszystko — można. I tu właśnie dotrzemy dopiero do najskrytszego źródła „Goralenvolku", które znajduje się nie gdzie indziej, jeno w przerostach naszego własnego kultu regionalizmu.

Pamiętam, że gdy wszedłem do zakopiańskiego lokalu „Goralisches Komitee" uderzyły mnie przede wszystkim regionalne obertasy: zewy i hasła wypisane gwarą, herbowe kozice w miejsce orła białego, metrowe podobizny ks. Stolarczyka i innych zasłużonych Podhalan tam, gdzie się zwykło zawieszać portrety mniej lokalnych osób. A to wszystko byłoby w gruncie rzeczy po myśli apostołów regionalizmu, byle im tylko zabrano sprzed oczu konterfekt Führera, dyndający na honorowym miejscu.

Regionalizm jest chwalebną zabawą — pod warunkiem, że nie prowadzi do skrajności i dziwactw. Regionalizm jest niebezpieczną zabawą — jako częsty próg do separatyzmu. Separatyzm kaszubski wydawał zdrajców, ale wydawał też Ceynowów, ludzi bezsprzecznie czystych rąk i gorącego idealizmu. Czy byli przez to mniej szkodliwi? Byli bardziej szkodliwi niż opłacane kreatury. Podhale nie „dorosło" do separatyzmu, ale regionalne poczucie odrębności, nieprzezornie a egzaltowanie podsycane z zewnątrz, zaznaczało się nieraz z zastanawiającą ostrością. Świadkiem stary znawca terenu Antoni Zachemski, który w broszurze „Ruch podhalański" (1930) przypomniał, jak to w 1918 r. „nie bez lęku pytano Podhalan, czy to prawda że organizują... Republikę Podhalańską". Rzecz była raczej przedmiotem dowcipów, ale z perspektywy „Goralenvolku" przestaje być zabawna. Okazuje się, że w sprzyjających okolicznościach to i owo łatwo może niektórym uderzyć do głowy. A przypominam, że Krzeptowski był typową słabą głową.

I tu właśnie musimy się sami uderzyć w piersi. Gdy Zejszner, Janota, Pol, Asnyk, Anczyc, a przede wszystkim Chałubiński „odkryli Zakopane", ani im się śniło pogłębiać różnic regionalnych pomiędzy góralem a lachem. Odrębność górala od cepra mieściła się dla nich w takich różnicach, jakie dzielą podlasiaka od kujawiaka czy mieszkańca Warszawy od mieszkańca Krakowa. Już jednak druga fala „odkrywców" z Witkiewiczem, Tetmajerem i Pawlikowskim na czele, nie potrafiła zachować miary. Góral podhalański — pierwotny mieszkaniec gór, ze wszystkimi tego socjologicznego typu wadami i zaletami, bliźni górala huculskiego czy wołoskiego, jakich znamy z Karpat Wschodnich, pierwotny pasterz i myśliwy, oraz ubogi ale honorny gazda na lichym spłachetku ziemi — wydał im się nagle postacią homerycką. Gąsienice, Krzeptowscy, Tatarzy, Roje, to byli chłopi, a jednak jakby szlachta. Entuzjastom w to graj. Rzucili się na wyprzódki głosić chwałę górala, aż doprowadzili kult góralszczyzny do skrajności, a nawet do wynaturzeń. Bo cóż ostatecznie znaczyły hałasy dokoła niefortunnego „stylu podhalańskiego", przeciwstawianie na każdym kroku górala zwartej reszcie Polski, próby stworzenia z gwary góralskiej osobnego języka literackiego? Prosta stąd była droga do poglądu, jaki usłyszałem z ust inteligenta osiadłego w Zakopanem, że właściwie, między nami, Niemcy mają trochę racji, wprowadzając w podhalańskich szkołach powszechnych nauczanie gwary miejscowej zamiast polskiego języka literackiego. Górale na cześć odwiedzających Zakopane hitlerowców wywieszali napisy „Witojcie". Ale na to samo „o" snobowali się panowie z Warszawy, a prezydent i jego zięć paradowali w kapelusikach z piórkiem i muszelkami, niby łaskawi włodarze egzotycznej kolonii, podkreślający chwilowym dostosowaniem się do obyczaju tubylców życzliwość i wyrozumienie swego rządu.

Odpowiecie: to była miłość, przerosty miłości. Ale miłość nie powinna i nie może być jednostronna, a już zwłaszcza nie powinna być ślepa i z gatunku „małpich", które wychodzą tylko na złe przedmiotowi zakochania. Bo nie ulega kwestii, że to właśnie i przede wszystkim cepry ułatwiły a nawet spowodowały ów moralny i społeczny stan rzeczy na Podhalu, którego rezultatem jest obecny kociokwik w tym nie tylko najpiękniejszym ale i najosobliwszym zakątku ziemi polskiej, zawartym pomiędzy Zawoją, Rabką, Szczawnicą i halami tatrzańskimi.

NĘDZA I GÓRY

Wionczek tłumaczy i usprawiedliwia wiele wad górali ich nędzą. Słusznie! Ale trzeba pamiętać, że górale ubodzy, borykający się z nędzą, okazali się najlepszym elementem, najbardziej opornym i najmocniej trwającym przy polskości. Nigdy nie zapomnę dni spędzonych w obejściu Adamczyków w Rzykach w głębi Gorców. Nędza łączyła się u nich z wysokim poczuciem godności narodowej i klasowej, z rozsądkiem politycznym i trafnością przewidywań, której by pozazdrościć im mogli ludzie z miast. To właśnie górale zamożni, wzbogaceni na ceprach i ich fanaberiach, byli przed wojną ostoją dla bobkowszczyzny, a w czasie wojny dla „Goralenvolku". Od łyczka do rzemyczka. Zaczynało się od serdaków, ciupag i flirtów, a skończyło na prysiudach przed Frankiem. Nie wytrwały, borykający się z losem Orkanowski góral brał kartę „G", lecz duchowi krewni owego górala Wojciaszka, który kpił sobie ze słusznych zarządzeń władz i łamał prawo bezkarnie jak ongiś Diabeł łańcucki, a za wielkoduszną rezygnację ze swoich dzikich uroszczeń brał jeszcze od zestrachanych ceprów dziesiątki tysięcy przedwojennych złotych. I nie ciemni, ale zawzięci bohaterowie „Orki na ugorze" prosili o te karty, lecz moralni krewni owych Burych, którzy dziesiątki lat byli zakałą Morskiego Oka. Bo i to trzeba dodać, że przypisywana góralom łączność ideowa ze światem wysokich gór jest jedną z tych wiar, w które wtajemniczeni dawno przestali wierzyć. Ale to już osobne zagadnienie.

WNIOSEK KOŃCOWY?

Wysnuć go łatwo. Czy z moich wywodów ma wynikać, że górale zawiedli, i że potomkowie powstańców chochołowskich i Łętowskiego, co z Napierskim za wolność chłopską życie oddał, zmarnieli i zdegenerowali się? Przeciwnie. A więc tym bardziej jest wskazane podjęcie i przeprowadzenie postępowania weryfikacyjnego. Zwłaszcza, że nie chodzi o potępienie. Właściwi sprawcy haniebnej komedii z „narodem góralskim" bądź zbiegli (jak Szatkowski, pono posiadacz paru paszportów), bądź ponieśli zasłużoną karę (jak Wacław Krzeptowski i jeden z jego braci) Nie chodzi o potępienie czy wykluczenie ze społeczności polskiej nieuświadomionego, omamionego elementu, lecz o zagadnienie wychowawcze. Ustalenie, kto przyjął dobrowolnie kartę „G" lub kto sam o nią zabiegał, pozwoli wyodrębnić te grupy, które wymagają społecznego przeszkolenia i dokształcenia, od tych, które swą polskość bezspornie udowodniły. „Ryczałty" równające sumarycznie złych z dobrymi, spełniłyby fałszywą rolę, usprawiedliwiając obałamuconych i zapewniając bezkarność winnym. Żądanie od górali „złożenia przed władzami administracyjnymi deklaracji wierności jest obrazą godności tych górali, którzy nigdy nie wyparli się polskości" — powiada ostatnie zdanie rezolucji Krakowskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej z dnia 24 maja br.

To wobec Gorali. Co do górali, rzecz jest jeszcze prostsza i sprowadza się właściwie do jednego postulatu: nie róbmy z górali ostatnich Mohikanów, nie patrzmy na każdego z nich jak na potomka Janosika a na każdą z nich jak na Marynę z Hrubego, i nie uczmy ich pisać „witojcie". Nie zmuszajmy ich również do noszenia niewygodnego i przestarzałego stroju, którego nosić nie chcą. Bądźmy mniej entuzjaści, filokobziarze i miłośnicy, mniej zachłystujmy się przebrzmiewającym folklorem, natomiast dbajmy więcej o rzetelne potrzeby żywego ludu. „A całość sama się złoży."

Jan A. Szczepański

KRONIKA FILMOWA

Pięćdziesięciolecie filmu. W roku bieżącym mija pięćdziesiąt lat istnienia sztuki filmowej. Do upamiętnienia tej rocznicy przygotowują się producenci filmowi całego świata. Powstał również specjalny Komitet Pięćdziesięciolecia Kinematografii. Komitet Pięćdziesięciolecia, jak również Metro Goldwyn Meyer przygotowują film mający zobrazować historię kina od filmu niemego do wielobarwnego. We francuskim klubie filmowym w Paryżu odbywają się z okazji pięćdziesięciolecia odczyty na tematy ważne dla kinematografii. Między innymi George Sadoul mówił o wynalazku filmu, a René Lefèvre o planie produkcji francuskiej.

W ZSRR jest w budowie pierwsze na świecie studio filmu trójwymiarowego. Przygotowuje się również specjalne sale do wyświetlania filmów tą metodą zrealizowanych. Pierwszym na świecie filmem trójwymiarowym będą „Przygody Robinsona Kruzoe".

Renoir, Divivier i René Clair wracają do Francji. Nikt z reżyserów i aktorów francuskich (za wyjątkiem Charles Boyer) nie jest związany z Hollywood stałym kontraktem. W Paryżu oczekuje się powrotu reżyserów, a przede wszystkim René Claira.

Pierre Chenel twórca m. in. „Ulicy bez nazwy" i „Zbrodni i kary", po powrocie z Ameryki Południowej przygotowuje się do nakręcenia filmu według powieści Stendhala „Czerwone i czarne" z udziałem Marleny Dietrich i José Quaglio, który zadebiutuje w roli Juliana Sorela.

Danielle Darieux wystąpi w wesołej komedii produkcji firmy Gibé według sztuki Marc Gilberta Sauvajon.

Filmy na ekranach paryskich. Powodzeniem u publiczności paryskiej cieszą się dokumentarne filmy amerykańskie „Dlaczego walczymy" i „Zdobycie Nowej Anglii". Filmy te zostały nakręcone na polu walki na Dalekim Wschodzie. Krytyka francuska podkreśla umiar i wymowę ich, czego brak w propagandowych, realizowanych w zaciszu bogatych atelier Hollywoodu filmach jak np. „Anioły miłosierdzia" (ku chwale amerykańskich sióstr Czerwonego Krzyża), gdzie nadmiar środków spowodował zatarcie prawdy i naiwne przerysowanie. Amerykański film z Marleną Dietrich „Pani pragnie mieć dziecko" spotkał się z ostrą negatywną reakcją publiczności francuskiej. Podkreśla się banalność scenariusza i przeżycie się artystyczne bohaterki filmu „Marokko".

TADEUSZ HOŁUJ

Na drogach klęski

Ze wszystkich obozów koncentracyjnych zostaliśmy tylko my — więźniowie „koncentraku" w Litomierzycach nad Łabą. Kiedy już czołgi wojsk alianckich odsłoniły ponurą tajemnicę, skrytą za drutami kolczastymi Majdanka, Oświęcimia, Buchenwaldu, Dachau, Sachsenhausen, czy innych obozów, — to tu w pięknej dolinie sudeckiej tysiące więźniów czekały jeszcze na swą wolność.

Było naszym udziałem czekać do ostatniego tchu walących się Niemiec, być świadkami ich dni ostatecznych, upokorzonej pychy i śmiertelnie przerażonej buty. K. L. Flossenburg jako obóz macierzysty zorganizował w r. 1944 nasze „S. S. Kommando B. 5" — jak brzmiała nasza oficjalna, tajemnicza nazwa. W ujeżdżalniach i stajniach dawnych koszar czeskiej artylerii żyła, tzn. wymierała z wycieńczenia, głodu i chorób, kilkutysięczna gromada więźniów. W drewnianych klatkach, pobudowanych na wielopiętrowych kondygnacjach, bez słomy nawet, bez koców, gnieździło się zawsze około 2—5 tysięcy Polaków, Rosjan, Czechów, Jugosłowian, Francuzów, czy Belgów. Brudni — myć się nie było ani gdzie, ani w czym — zawszeni, nie było bowiem ani bielizny, ani ubrań na zmianę, kradli kilka godzin snu ze swego zwierzęcego życia.

Rano — gwiazdy jeszcze świeciły ostro na łagodnym niebie sudeckim — zrywały ze snu gongi. Letnia kawa i ustawianie grup do pracy. „Capowie" i „Vorarbeiterzy" łowią do swoich „komand" ludzi, na placu apelowym słychać tylko jęki bitych i klątwy ścigających. Więźniowie, doprowadzani przez oprawców, ustawiają się nieraz całymi godzinami marznąc, aby po brzasku wyruszyć do pracy. Człapią drewniaki w grząskim błocie, esesowcy krzyczą ochryple rytm: „Links, zwo, drei, vier", i kije spadają na niezgrabnie wybijających krok. Czeka już mroczny olbrzymi tunel. Podziemne sztolnie, długie na wiele dziesiątek kilometrów pochłaniają więźniów, za chwilę tunel pełen jest postękiwania maszyn, bory wwiercają się w skały, stukają kilofy, a wilgotne, pełne pyłu powietrze dusi wyczerpanych pracą. Zawalający się ustawicznie strop miażdży dzień po dniu nowe ofiary. O dziewiątej kromka suchego chleba, o dwunastej obiad: chleb, mikroskopijny dodatek margaryny. Późnym wieczorem wracają „komanda" z tunelu, tępym, ociężałym krokiem, zdążając na apel wieczorny. Trwa on godzinami i z zasady nie zgadza się. Apel jest w obozie najstraszniejszym momentem życia. Z apelu znoszą trupy i półżywych, na apelu przemawia „Lagerführer" o bydle, jakim jesteśmy w jego oczach, o sabotażu, jaki uprawiamy, owijając ciała papierowymi workami, aby nie zamarznąć, na apelu wieszają schwytanych na ucieczce, na apelu myśl nasza biegnie do kotłów z wodnistą, obrzydłą zupą, czekającą nas na blokach. Wydają ją do późna w nocy. Potem twardy, męczący sen.

W szpitalu brak najprostszych lekarstw. Rany przewiązuje się papierem, chorzy leżą po pięciu na pryczy, wszy sieją tyfus i śmierć. Epidemii ulega ogółem 3000 więźniów, na ogólną sumę 20 000 ludzi, którzy przewinęli się przez obóz. Stan szpitala dochodzi czasem do 50% całego obozu. Tylko nadzieja na rychły koniec trzyma nas, tylko wiara daje nam siły. Rozgłośnie alianckie rozbrzmiewają wieściami z oswobodzonych już obozów. Co będzie z nami? Ofensywa anglosaska i sowiecka zbliża się ku Łabie, spadają na obóz ulotki, gorliwie czytane zarówno przez nas, jak i przez załogę. Wreszcie dowiadujemy się, że obóz macierzysty w Flossenburg jest również zajęty. Ze wszystkich stron Niemiec napływają do nas grupy ewakuacyjne, opowiadające o ostatnich dniach obozów koncentracyjnych. Tam wystrzelano, tam wyprowadzono, ówdzie rozpuszczono więźniów. Wszystkich chorych i słabych w transporcie spotykała z reguły śmierć, jedynie na terenie czeskim miano pewien wzgląd i ładowano chorych na wozy, dostarczając te żywe szkielety ludzkie do naszego obozu. Komendant organizuje z zawodowych przestępców niemieckich „zielonek" kompanię policyjną, daje im czarne mundury i broń maszynową. Mówią oni otwarcie: „My was i tak zlikwidujemy".

Powstaje wówczas tajny komitet więźniów politycznych, w którym Polaków reprezentuje adwokat Mieczysław Prószyński z Warszawy — jeden z przywódców ONR, Tadeusz Garczyński — ludowiec, a z ramienia lewicy polskiej, posiadającej swoją odrębną organizację międzynarodową na terenie obozu, autor artykułu. Komitet ten organizuje Polaków do akcji oporu i wyzwolenia, postanawiając jednomyślnie skierować masę polską do kraju.

Fronty wdzierają się pod Berlin i Drezno, pod Norymbergę, Wiedeń i Morawską Ostrawę. Komendant obozu zarządza częściową ewakuację. Odchodzi wprawdzie kilka tysięcy, lecz napływają coraz to nowe grupy ze zlikwidowanych obozów. Ładują m. in. 1000 chorych na otwarte wagony, ale po trzech dniach postoju na dworcu kolejowym, chorzy ci wracają. Ostatnia droga, na Bawarię, zamknięta. Jesteśmy teraz ostatnim obozem. „Lagerführer" powiada nam: „Ja zostaję, cóż mnie może spotkać, najwyżej mnie powieszą. Chociaż jestem w SS, zawsze byłem dla was ludzki". I potakuje mu kilku Polaków, gdy cały obóz kipi z oburzenia. Posępne miny obozowych katów mówią więcej niż komunikaty. Wreszcie i komunikaty niemieckie przestają się ukazywać. Komendant wyjeżdża do Pragi po instrukcje, przychodzi rozkaz palenia ksiąg, kartotek i dokumentów, które zakopujemy skrzętnie w piwnicy. Esesowcy podpisują się już nie nazwiskiem, ale prostą kreską na papierach obozowych, wielu „führerów" szuka kontaktu z więźniami, obozowy warsztat krawiecki szyje pospiesznie dla nich cywilne ubrania, gdy ponad nami szybują setki samolotów alianckich. Nastrój nerwowy rośnie, mnożą się ucieczki.

Pierwszy tydzień maja 1945 roku. Obóz nie ma żywności, więźniowie powodowani głodem — od dłuższego czasu jedzono koniczynę i ił z węgla kamiennego — rozkradają ziemniaki z kopców, strzelani za to na miejscu. Powietrze drży od wystrzałów armatnich. Napięcie dochodzi do punktu szczytowego. Więźniowie, mający kontakt z komendą obozu, donoszą o możliwości wypuszczenia więźniów na wolność. Konstytuuje się międzynarodowy komitet więźniów, obejmujący wszystkie grupy narodowościowe, pada hasło masowego powrotu do kraju. Gromady więźniów dyskutują gorączkowo, kilku Polaków nawołuje do pójścia na Zachód, do niepowracania. „Komanda" nie wychodzą do pracy, przed bramą obozu tłoczy się przygotowany samorzutnie do wymarszu niecierpliwy tłum. W tłum ten wpada goniec z radosną nowiną: w Pradze powstanie! Komitet więźniów postanawia żądać od komendy rozpuszczenia obozu i przekazania szpitala pod opiekę Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Na zebraniu komitetu zjawia się „lagerführer", już nie pozdrawiany przez nikogo, czerwony ze wstydu, lecz usprawiedliwiający się jeszcze: „Czy wy myślicie, że to już koniec? Jeszcze nie, jeszcze naród niemiecki podniesie się". Kiwamy głowami. „Lagerführer" pyta potem: „A co robią z nami? z SS?". Pada twarda odpowiedź: „Wieszają".

Zanim delegacja nasza osiąga swój cel, jeden z naczelnych inżynierów niemieckich, prowadzący pracę w tunelu, wzywa przedstawicieli Polaków do siebie, namawiając do dobrowolnego zgłoszenia się Polaków na cywilne roboty. „Co macie do stracenia? I tak gdzieś musicie pracować. Wszystko jedno, czy we Francji, czy u nas. Przecież do kraju nie wrócicie". Odpowiadamy, że wrócimy, a postawę naszą popierają wszyscy więźniowie polityczni.

Na placu apelowym rośnie coraz większy tłum ludzi. Chorzy zwlekają się z łóżek, ubierają się, nie chcąc pozostać w obozie. Druga wiadomość: Niemcy kapitulują! Roznosimy tę radosną wieść po wszystkich blokach, starzy więźniowie płaczą ze wzruszenia, całują się, a gromady więźniów napierają już na bramę. W tej sytuacji zaczyna przemawiać jeden z esesowców. „Jestem żołnierzem — mówi — ale pod mundurem naszym biją i biły ludzkie serca, serca, które wam współczuły, choć my jako żołnierze, musieliśmy wykonywać rozkazy..." Mówi tak w szyderczo roześmiane twarze więźniów, wzywając do spokoju, do zachowania dyscypliny i obiecując rozpuszczenie obozu w przeciągu tygodnia. Ale kolumny już się ustawiają. Przez całą noc wre gorączkowa praca, wypisuje się indywidualne zwolnienia, gromadzi się dokumenty, nikt nie śpi. Nie można zebrać rozgorączkowanych, chaotycznych myśli, po blokach śpiewają już przecież pieśni narodowe, to już koniec, koniec i wolność. Trudno po tylu latach uwierzyć. Towarzysze najbliżsi naradzają się z nami, ściskamy sobie dłonie i otwieramy mapy wielkiej, ostatniej naszej wędrówki.

Na drugi dzień odchodzą Czesi i Jugosłowianie. Już wiemy, że wielki obóz żydowski, twierdza Theresienstadt, przekazana jest Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi; tam musimy dotrzeć. W kilkunastu opuszczamy obóz. Jest ciepła, ciemna noc. Ktoś gra na organkach Marsyliankę, po pustych ulicach miasta przemykają się trwożliwie postacie Niemców. Śmiało, wesoło dudni krok grupy naszej po wielkim granicznym moście na Łabie. Tutaj opuszczają nas już esesowcy, jesteśmy sami i wolni. Łączymy się z innymi grupami i maszerujemy do Teresinka. Mimo nocy rozróżniamy barwy czechosłowackie na sztandarach. Theresienstadt. Wielki obóz, miasto śmierci, zamknięte wysokim murem fortecznym, poza którym czekają na oswobodzenie tysiące kobiet i mężczyzn. Jest wielka, denerwująca cisza. Czeski czetnik podchodzi do nas i wyjaśnia sytuację: Praga walczy i wzywa pomocy. Grupa armii niemieckiej Schrödera, która nie kapitulowała, broni się zajadle na terenie Protektoratu. I pada naturalnie imię Śląska Zaolziańskiego. Tłumaczymy szczerze jak to było wówczas i to wystarcza. Gdzieś, daleko, jazgocą działa. Nagle zaniosło się powietrze klekotem czołgów. Biegniemy na wały forteczne, patrząc na uciekające kolumny niemieckie. Ciemne, uśpione miasto nasłuchuje uważnie. Pół godziny ciszy. Znowu czołgi. Ale uszy nasze nie mylą się tym razem. Z daleka słychać rosyjskie: Hurra! i czeskie: Na zdar! To armia radziecka przebiła się na Pragę i wali niepowstrzymanie naprzód. Drży nam ze wzruszenia głos. Któryś dom miasta wybucha niespodziewanie oszalałym krzykiem, okrzyk ten rozwija się, płynie od domu do domu, od ulicy do ulicy Międzynarodówką. Śpiewają kwarantanny i kamienice. Cała ulica, jedna, druga, trzecia... Tłum łamie kraty i wylega na miasto. Bierzemy się pod ramię i maszerujemy w rozszalałą, rozśpiewaną noc. Obok huczą już całe Czechy: Na zdar!

Nocy tej wymykamy się z Teresinka, aby powrócić do naszego obozu i załatwić stare porachunki. W drzewach przyfortecznych śpiewa najspokojniej słowik, pachnie ciepło ziemia. O świcie spostrzegamy ze zdumieniem kolumny niemieckie na drodze. Pędzą pancerki, auta osobowe, ciągniki, jadą na rowerach, motocyklach i wozach, pokonani, zwyciężeni. Odcięci, chcą się jeszcze przebić do Anglików i to jest ich jedyną nadzieją. Zarośnięte twarze, dzikie, przerażone spojrzenia, karabiny maszynowe zwrócone na nas, kufry, kobiety i dzieci. Znamy ten obraz z marzeń naszych przez długie lata obozu. Teraz my, ostatni więźniowie, patrzymy na naszych ostatnich oprawców.

W miasteczku Czesi chwytają za broń. Równocześnie kolumny niemieckie zawracają, jako że droga do Anglików zamknięta jest przez wojska radzieckie Miotają się to tu, to tam w pułapce, wreszcie wpadają w nasze ręce. Jedna z pojmanych kompanii niemieckich defiluje przed naszym więźniarskim mundurem i bije trzy głębokie pokłony przed tym właśnie symbolem klęski i zwycięstwa. Upokorzeni, płaszczą się teraz przed swymi niedawno niewolnikami.

W Litomierzycach tymczasem wre jeszcze walka z częścią garnizonu SS. Czekamy tylko na auta. Uprzedza nas jednak lotnictwo radzieckie, dławiąc bombami ostatni opór. W Radzie Narodowej meldujemy, że wszystkie akta i dokumenty obozowe są zakopane w Litomierzycach. Druga nasza grupa, zawiązawszy się w oddział partyzancki, operuje pod dowództwem dzielnego lwowianina K. Gołębiowskiego, z drugiej strony Litomierzyc. Szpital obozowy obejmują siostry Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, płacząc przez wiele godzin na widok tych potwornie wyniszczonych ludzi, zaludniających lazaret.

Teraz, jak najszybciej do kraju. Jedziemy autem czeskim, wszystkimi drogami ciągną nie kończące się kolumny rozbrojonych Niemców. Idą sami, bez straży, kierując się ku punktom zbornym. Głośniki radiowe, porozwieszane po drogach, ogłaszają im kierunek marszu. Idą w kurzu i skwarze posępni i zawstydzeni. A przy drogach tłumy ludności obrzucają wóz nasz kwiatami, na czołgach sowieckich, ciągnących wolno za nami, śpiewają Czesi, śpieszący się do Złotej Pragi, do oswobodzonej stolicy. Jedziemy tam pierwszym uruchomionym pociągiem. Wzdłuż torów stoją nieprzebrane masy ludności, wieść o tym „historycznym pociągu" dociera do odległych wsi, miast i stacyj. Biegną polami ludzie, obładowani darami, a ci, co zdążyć nie mogą, płaczą serdecznie zmartwieni. Milicja przeszukuje wagony za Niemcami. Na peronie jednego z dworców kolejowych leżą dwa trupy, ubrania cywilne, rozkrzyżowane ramiona. To przebrani Niemcy — tłumaczy młody chłopiec z karabinem i opaską milicyjną. Jakąś kobietę wyrzucają z pociągu za to, że mówiła po niemiecku. Na innej stacji przynoszą do pociągu wraz z chlebem i mlekiem wiadomość: „Nasz rząd jest już w Pradze", i śmieją się oczy wszystkich, tych w pociągu i tych, którzy ich witają.

Jesteśmy w Pradze. Mostami Wełtawy suną ciężko kolumny czołgów. Górą, po czystym niebie, eskadry samolotów, a na ulicach kotłuje się barwny, roześmiany tłum. Narodowe stroje czeskie mieszają się z mundurami wojskowymi wszystkich prawie armii świata. Praga bowiem jest dzisiaj jego sercem. Ludzie zatrzymują czołgi, stary, siwy żołnierz gramoli się z wieżyczki czołgu, siada na trotuarze i zaczyna na harmonii grać tęskną kozacką piosenkę. Zbliża się szybko tłum, muzykant zaczyna polkę i w chwilę potem tańczą już żołnierze z Czeszkami. Przechodzący obok porucznik angielski zatrzymuje się. Drga jego mała fajeczka w zębach, ręce wypukują takt na mundurze. Na ramieniu ma wstążeczkę z napisem: Nowa Zelandia. Kilka kroków dalej przeciągają ulicą dopiero co schwytani Niemcy. Na prowizorycznych grobach poległych w walce o Pragę i wolność powstańców palą się świece, a wielkie kosze przeznaczone na ofiary dla rodzin bohaterów pełne są po brzegi pieniędzy.

Tysiączne tłumy defilują przed zniszczonym od bomb historycznym ratuszem. Jeszcze strzały mieszają się z rozgwarem ulic; to milicja przeszukuje bloki domów, gdzie ukryli się gestapowcy. Cywile z rewolwerami w ręku biegną w kierunku strzelaniny, prowadząc po chwili dwóch oficerów SS. W kilka minut potem płoną już, żywcem spaleni przez tłum. Żywe pochodnie: Za was i za nas, za Czechy i Polskę — mówimy Czechom. Okazuje się, że około 6000 gestapowców ukryło się w Pradze, którą uważali dzięki oporowi grupy wojsk na terenie Protektoratu za miejsce „pewne". Dopiero co wykurzono ich z Langmarkthaus (Niemiecki Dom Akademicki). Organizacja czechosłowackiej młodzieży „Pięść" wskazuje nam kwatery w tym właśnie domu. Wygląd pokoi świadczy o niedawnej walce i o panicznej ucieczce. Młodzi chłopcy segregują już mundury, żywność, broń, książki i mapy.

Cztery wielkie stronnictwa czeskie: partia komunistyczna, socjal-demokratyczna, ludowo-socjalistyczna i ludowa, tworzą rząd obecny, który opierając się na deklaracji koszyckiej, zaczął od razu odbudowę republiki. Trzeba przyznać, że w kilku pierwszych dniach wolności oprócz grup komunistycznych nie widzieliśmy żadnych innych w Pradze. Pierwsze prace organizacyjne wszczęte zostały przez członków rządu Fierlingera i Gottwalda. Ich naczelną troską było usprawnienie komunikacji, aprowizacja miast, tworzenie władz państwowych i samorządowych, jak również armii. Czesi zdali egzamin swój jako naród o wielkim wyrobieniu politycznym, jak również jako organizatorzy odbudowy republiki. O ich gościnności i serdecznym stosunku do Polski pisano już wiele.

Ostrzyżone do skóry Niemki z B. D. M., wielka swastyka na plecach, miotła i łopata w ręce — robią porządki na ulicach kraju. W wąskiej uliczce stoją czołgi radzieckie, otoczone żołnierzami i tłumem ludzi. Dzieci wspinają się na wieże pancerne i lufy dział, chrupią czekoladę, obcinając gorliwie oficerom sowieckim guziki mundurów na pamiątkę. Wtem spojrzenia Czechów zwracają się w innym kierunku: nadjeżdżają wolno auta amerykańskie, na nich żołnierze w mundurach angielskich, witający się czeską mową. To pierwsza jednostka zmotoryzowana wojsk czechosłowackich „z tamtej strony". Starszy porucznik radziecki zatrzymuje pierwsze auto z zapytaniem:

— A wy co za jedni?

— My Czesi, z zachodniego frontu — odpowiada kobieta w wojskowym uniformie szofera.

— Aha, — zamyśla się oficer radziecki, wyciągając z kieszeni kurtki kawał suchej kiełbasy. — A nas lubicie, co?

Kobieta śmieje się.

— Lubimy, towarzyszu, toż my też Słowianie.

— No, to zakąście. Ta kiełbasa jeszcze z Polski.

I tak zagryzają wspólną słowiańską przyjaźń po prostu i bez gestu.

Na ulicach pełno Polaków. Biało-czerwone wstążeczki w klapach skupiają się wokół jakiejś paniusi ubranej przesadnie i powiadającej, że jest z warszawskiego powstania.

— Powiadam państwu, jest bardzo dobrze. Ja na tych sprawach znam się przecież, męża miałam oficerem. Otóż Londyn słyszałam, o sprawie polskiej. Przemawiało szereg wielkich ludzi w sprawie polskiej i sama słyszałam na własne uszy, jak przemawiał p. Chopin Fryderyk...

Chce mi się śmiać, ale niech tam będzie pan Chopin. Ważniejsze jest, że inni panowie też Polacy, ale jeszcze żyjący, nie mają w Pradze żadnych wiadomości o kraju i o możliwościach powrotu.

W domu „Pięści" sprzątają internowane Niemki. Patrzą na pąsiak więzienny ze zdumieniem i zgrozą. Młody chłopak, z pierwszego transportu oświęcimskiego, mówi do nich z ironią:

— Co się tak patrzycie, niby to wy nie wiecie, co znaczy ten nasz strój?

Niemki odpowiadają, że słyszały, ale trudno im uwierzyć. A jeśli nawet ktoś w Niemczech wierzył, to przecież nie mógł nic uczynić przeciwko temu. Do rozmowy naszej przyłącza się jeden z młodych przywódców niemieckiej partii komunistycznej.

— Odpowiedzialność, widzicie, spadnie na nas wszystkich Niemców właśnie za bierność i za sprzyjanie hitlerowskiej hecy.

— Tak, tak, zniszczony naród — mówi po niemiecku Frau Doktor.

— Nie — oponuje nasz sąsiad — narodu zupełnie zniszczyć się nie da, naród niemiecki ma olbrzymie doświadczenie produkcyjne i doświadczenie to oddać musi na usługi odbudowywującego się świata.

Przypomina mi się wypowiedź jednego z czołowych komunistów niemieckich, przebywającego z nami w obozie, dr Becka. „My, Niemcy, możemy znowu przodować Europie, ale już nie jako siła polityczno-militarna, ale produkcyjna, organizacyjna".

Niemki sprzątają dalej, wymiatając ze sal porwane portrety „Führera". Żegnamy już Pragę. My ostatni więźniowie hitleryzmu, bezpośredni świadkowie jego agonii i zgonu.

W poprzednim (28) numerze „Odrodzenia" z dnia 10 czerwca: **Włodzimierz Michajłow:** W sprawie wolności nauki. — **Artur Sandauer:** Nieco filologii. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (16). — **Stefania Łobaczewska:** O organizację kultury muzycznej. — **Jerzy Broszkiewicz:** Listopad. — **Kazimierz Czachowski:** Społeczny program życia literackiego. — **Maria Jarochowska:** Żywa książka. — **Hanna Mortkowicz-Olczakowa:** Wspomnienia o Stefanii Sempołowskiej. — **Lech Piwowar:** Jak przez okulary. — **Zygmunt Mysłakowski:** W sprawie dzieł sztuki ludowej. — **Jan Kott:** Po prostu. O zamówieniu społecznym. — **Ryszard Matuszewski:** Tragiczna śmierć poety. — **Stefania Łobaczewska:** Przegląd muzyczny. — Pisarze francuscy w walce o wolność ojczyzny. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia". Odpowiedź **Haliny M. Dąbrowolskiej.** — **Kazimierz Wyka:** Poeci lubelscy. — **(kb):** Przegląd prasy. — **Mieczysław Wionczek:** Straty kultury polskiej we Wrocławiu. — Kronika. — Kalendarz kulturalny. — **mj.:** Laurowo i ciemno. „Uspokojenie" Juliusza Słowackiego. — 8 stron.

KRONIKA KULTURALNA FRANCJI

WIEŚCI O PISARZACH FRANCUSKICH

Podajemy (por. „Pisarze francuscy w walce o wolność ojczyzny", nr 28 „Odrodzenia") dalsze szczegóły o losach wybitnych pisarzy francuskich podczas wojny. Grupa ich (Jean-Richard Bloch, Bernanos. Supervielle, Jacques Maritain i inni) emigrowała za granicę i tam prowadziła działalność antyfaszystowską. Jules Romain i André Gide przejawiali sympatie dla Petaina i Lavala. Większość pisarzy pozostała w kraju i brała czynny udział w podziemnej antyniemieckiej prasie. Na dziesiątym tomie pełnego wydania utworów Duhamela, na „Kronice rodu Pasquier" pojawiła się pieczątka: „verboten". Zostały skonfiskowane i spalone wszystkie książki François Mauriaka. Ten sam los spotkał książki Aragona i Saint-Exupery. Charles Vildrac został w roku 1940 aresztowany za książkę „Nowa Rosja", wydaną w roku 1937. Niemcy wydali dwa spisy „zakazanej literatury francuskiej". Saint-Exupery zginął w walce na froncie. Kapitan Jean Prevost został rozstrzelany przez Niemców 3 sierpnia 1944 roku. W okresie wojny zginęło ponad 30 pisarzy francuskich. Publicysta Gabriel Peri został rozstrzelany. Jako zakładnik został rozstrzelany romanista i filozof Jacques Decour. Jean Giraudoux zmarł w więzieniu. Poeci Max Jacob i Benjamin Cremieux zginęli w obozach koncentracyjnych. Ostatni przedstawiciel symbolizmu francuskiego, sędziwy, osiemdziesięcioletni Saint Paul Roux, którego córkę Niemcy zgwałcili, nie zniósł śledztwa, dostał pomieszania zmysłów w obozie koncentracyjnym i zginął od kuli niemieckiej.

„Lettres Françaises" założył Jacques Decour w lutym 1941 r. w Paryżu. Pierwszy numer wykonano na maszynie do pisania. Decour został aresztowany. Niemcy rozstrzelali go 30 maja 1941 r. Następny numer pisma ukazał się dopiero w październiku 1942 r. Czwarty został zniszczony, gdyż Niemcy wpadli na jego ślad. Mimo to w podziemiu ukazało się 19 numerów tego literackiego wydawnictwa.

Na południu Francji poeta Louis Aragon założył podziemne pismo literackie „Etoile". Podczas okupacji ukazało się 17 numerów. Obecnie „Etoile" pojawia się w Lyonie. Drugim znanym organem literackim wydawanym nielegalnie na południu, były „Zeszyty Wyzwolenia", organ „Komitetu Narodowego Pisarzy i Dziennikarzy Południowej Francji" i „Komitetu Narodowego Profesorów, Nauczycieli, Doktorów, Adwokatów i Muzyków".

Wymienimy kilka książek, wydanych nielegalnie pod pseudonimami, w okupowanej przez Niemców Francji: François Mauriac — „Czarny zeszycik", Louis Aragon — tomik wierszy „Muzeum Grévin", Edith Thomas — „Opowiadania", Claude Aveline — „Martwy czas", Jean Cassoux — „33 sonety", Claude Morgan — „Piętno człowieka" i inne. Prócz tego wyszła w dwu tomach pod redakcją Paul Eluarda antologia „Honor poetów"; tom pierwszy „Poezja francuska" — z przedmową Eluarda i tom drugi — „Poeci francuscy w więzieniach i poeci okupowanej Europy" — z przedmową Aragona. W drugim pojawiły się przekłady poetów Jugosławii, Grecji, Czechosłowacji, Holandii, Norwegii, Belgii i Bułgarii. W serii „Świadectwo" ukazały się książki „Toulon", „Przestępstwo przeciw duchowi" (pióra Aragona) i „Zawieszenie broni". Komitet Narodowy Pisarzy Francuskich wydał książki. „Jacques Decour", „Zakazane" (zbiorek zabronionej przez faszystów poezji niemieckiej od Heinego aż do antyfaszystowskiej poezji Niemiec) i tom „Carles Péguy — Gabriel Peri" pod redakcją Eluarda — o antyfaszystowskim pisarzu katolickim Péguy i publicyście komunistycznym Peri.

W pierwszym numerze „Lettres Françaises", wydanym w dwa tygodnie po oswobodzeniu Paryża, opublikowano manifest Narodowego Komitetu Pisarzy Francuskich. W manifeście czytamy: „Zjednoczeni w dniach zwycięstwa i wolności, podobnie jak byliśmy zjednoczeni w dniach rozpaczy i ucisku, będziemy pracowali dla odrodzenia Francji i ukarania oszustów i zdrajców!" Manifest ten podpisało 65 najwybitniejszych pisarzy francuskich: François Mauriac, Georges Duhamel, Paul Valery, Paul Eluard, Jean Guehenno, Claude Roy, Aragon, Jean Cassoux, Roger Martin du Gard i inni.

Życie literackie wolnej Francji sądząc po ruchu wydawniczym jest ożywione. Nie tyle ilość jest w tym wypadku wskaźnikiem, ile różnorodność gatunkowa ukazujących się publikacji.

Obok książek związanych tematycznie z przeżytym okresem niewoli ukazują się zbiory poematów na najwyższym (z tych „trudnych") poziomie formalnym. („Figures" — Jeana Tardieu i „Histoire de la lampe" — Paul Colinetta, który jest formalnym kontynuatorem Jacoba, Fargue'a i Michaux). Rzeczą charakterystyczną dla francuskiego życia kulturalnego jest fakt, że pierwszym wznowieniem wydawniczym jest „Rozprawa o metodzie" Descartesa.

Wśród książek związanych z okupacją uwagę krytyki skupia się wokół „Psychologii jeńca wojennego" Jean Cazeneuve'a, który zastanawia się nad wpływem niewoli na postawę światopoglądową artysty. Cazaneuve podkreśla fakt, że artysta twórczy, który tworzył zawsze bez widoków na popularność, w obozie jenieckim miał możność kontynuacji rozwojowej. Zdeklasowaniu ulegają dziennikarze i pisarze, dla których życie bez oklasku jest śmiercią artystyczną. Zainteresowanie wzbudza „Dziennik więźnia politycznego" Leona Moussinaka, który przebywał w latach 1940—41 w paryskim więzieniu Santé, oraz reportaż z powstania paryskiego napisany przez współpracownika „Lettres Françaises", Claude Roy.

Działalność swoją wznowiła firma NRF, której wydawnictwa były zawsze wskaźnikiem życia umysłowego Francji. Plan wydawniczy na najbliższą przyszłość obejmuje dwa tomy poematów Maxa Jacoba, „Charlotte w Weimarze" T. Manna, „Dickens" Alaina, znanego filozofa, autora licznych „Propos...", napisaną w 1941 r. książkę Leona Bluma „W skali ludzkiej", oraz w kolekcji nieśmiertelnych „Pléiade", „Wojnę i pokój" Tołstoja.

Z dawnych periodyków wznowiona została „Revue de Paris". Rolę przedwojennych „Cahiers du Sud" czy „Mesures" spełnia obecnie nowozałożona „L'Eternelle Revue".

W prasie artystycznej wiele miejsca poświęca się poezji i sprawom poezji (ukazuje się czasopismo „Poésie 1945"). Obok nazwisk związanych z ruchem oporu jak Aragon i Eluard ukazują się poematy P. J. Jouve'a, Patrice de la Tour du Pina i innych. Ciekawostką są drukowane fragmenty poetyckie Pablo Picassa.

PERSPEKTYWY ODNOWIENIA TEATRU HISTORYCZNEGO

Krytyka francuska wiąże z faktem ukazania się jednocześnie dwóch sztuk historycznych na scenach paryskich pewne nadzieje. Chociaż podkreśla się, iż „Louise de la Vallière" Jean Jacques Bernarda (o wystawieniu tej sztuki w teatrze „Odéon" już donosiliśmy) ma tylko tło historyczne, a w istocie swojej jest utworem, gdzie subtelności życia wewnętrznego i rozwój uczuć ludzkich są na pierwszym planie, to jednak fakt, że jednocześnie w teatrze „Pigalle" wystawiony jest „Danton" Romain Rollanda skłania do stawiania horoskopów na przyszłość. Obie sztuki cieszą się dużym powodzeniem. Chociaż powody są różne, uważa się historyczność za podstawę ich aktualnej popularności. Krytycy jednomyślni są w ocenie żelaznego repertuaru historycznego, którym teatry mogą swoje programy uzupełniać. Powodzenie „Louise de la Vallière" a szczególnie „Dantona" nie oznacza, by należało powrócić do Scribe'a, Dumasa czy Sardou, do tej całej mitologizacji anegdotycznej, w rodzaju „Madame sans gêne". Nastąpić może odnowienie teatru historycznego jedynie w wypadku aktualności problemów, bliskości spraw mimo oddalenia się ich w czasie.

„Louise de la Vallière" odpowiada tym warunkom, gdyż postacie posiadają konstrukcję psychiczną lat 1939—44, „Danton" Romain Rollanda natomiast napisany został w 1898 a wystawiony w 1900, a więc w okresie sprawy Dreyfussa i aktualny jest nie tylko aktualnością głównej postaci Wielkiej Rewolucji Francuskiej, lecz również sposobem oceny jej w latach nie mniejszych niż dziś przemian. Sztuka Romain Rollanda może przez to sprawiać wrażenie, iż napisana została obecnie. Ze sceny przemawiają do widza te same wątpliwości — piszą krytycy francuscy — co na zebraniach partyjnych: czy rewolucję prowadzić bez względu na wszystko aż do jej czystego rezultatu, czy też powstrzymać ją, gdy może zagrozić bezpieczeństwu państwa; czy wobec słabych i winnych należy być nieubłaganym, czy też zdobyć się na wyrozumiałość?

Związanie teatru historycznego z dniem dzisiejszym może być podstawą jego odnowy. Taki wniosek stawia krytyka francuska. (Według „Arts").

PLASTYKA

W plastyce panuje ożywienie nie mniejsze, niż w literaturze. Mnożą się wystawy indywidualne i zbiorowe. Zwraca się uwagę na odnowę drzeworytu. Picasso, Braque i Matisse w malarstwie są jak przed wojną biegunami uwagi. Budzi pewne zainteresowanie nowy kierunek formalny, który zdołał już powstać, pod nazwą „egzystencjalizm" (Francis Tailleux), który powrót do realizmu usiłuje przezwyciężyć na drodze deformacji karykaturalnej.

MUZYKA

„Tańce koncertowe" Igora Strawińskiego. W Paryżu po czteroletniej nieobecności w programach koncertowych został wykonany nowy, napisany w Los Angelos utwór Igora Strawińskiego. Krytyka francuska przyjęła z entuzjazmem „Tańce koncertowe", widząc w nich szczytowe osiągnięcie twórcy „Capriccia" i „Ptaka ognistego", który w sposób doskonały wyraził w nich swoją artystyczną ideologię ścisłości i prostoty istotnej, bez łatwizny i nastrojowości.

Kompozytorzy francuscy w czasie wojny. Tygodnik „Arts" publikuje notę informacyjną o kompozytorach, którzy milczeli w czasie okupacji.

Manuel Rosenthal brał udział w kampanii 1940 r. i został wzięty do niewoli. Uwolniony ukończył zaczęte przed wojną oratorium „Św. Franciszek z Assyżu" oraz skomponował utwór symfoniczny pt. „Muzyka stołowa", który stanowi ilustrację muzyczną do pantagruelowskiego posiłku. Obecnie Rosenthal powrócił na swoje zajmowane przed mobilizacją stanowisko dyrygenta orkiestry radia paryskiego.

Tibor Harsanyi również uczestnik kampanii 1940 r. Przez lata wojny Harsanyi opracował m. in. dwa „Divertimenta" na dwoje skrzypiec z orkiestrą", „Pięć pieśni symbolicznych" i „Dwie pieśni a capella" do tekstów Verlaine'a, Moréasa, Nervala, Apollinaire'a i Mallarmégo.

Znany we Francji rumuński kompozytor Marcel Mihalowici spędził wojnę w Cannes. Mihalowici przerobił swoje „Interludium" i „Kaprys", kontynuował wieloletnią pracę nad „Kantatą" oraz napisał wstrząsającą — według „Arts" — kompozycję orkiestralną pt. „Symfonia czasów terazniejszych", która została w bieżącym roku wykonana przez orkiestrę pod batutą Rosenthala.

Krytyka („Lettres Françaisses") wyraża się z wielkim uznaniem o kantacie „Postać ludzka" Francis Poulenca na chór mieszany a capella, której tekst stanowią poematy wojenne Paul Eluarda. „Postać ludzka" powstała w roku 1943.

KRONIKA KULTURALNA ZSRR

W Jasnej Polanie. Jasna Polana — to miejsce, gdzie żył i tworzył Lew Tołstoj. Pałac, w którym mieszkał Tołstoj, został za czasów radzieckich przekształcony na muzeum. Gdy w roku 1941 do Jasnej Polany zbliżali się Niemcy, eksponaty muzeum ewakuowano do Tomska. Sam budynek został przez wojska niemieckie zniszczony. Obecnie budynek odremontowano, eksponaty wróciły na swoje miejsce i muzeum udostępniono publiczności. Między innymi powróciła biblioteka pisarza licząca 23 tysiące tomów, jego portrety pędzla Kramskiego, Riepina i Sierowa, oraz przedmioty, którymi Tołstoj posługiwał się w życiu codziennym.

Zmarły w maju br. popularny poeta rosyjski Demian Biednyj (Jefim Aleksiejewicz Pridworow) urodził się w roku 1883. Pochodził z rodziny chłopskiej. Wcześnie związał swoją twórczość z ruchem robotniczym. Już od roku 1911 ukazują się jego utwory w organach partii bolszewickiej „Zwiezda" i „Prawda". Brał udział w wojnie domowej. Utwory jego odegrały dużą rolę wychowawczą, szczególnie w czasie wojny z Niemcami.

Konstanty Treniew, znany pisarz rosyjski, umarł w Moskwie w maju br. Treniew urodził się w roku 1878. Działalność literacką rozpoczął w roku 1898 jako autor zbioru opowiadań. Później, po rewolucji 1917, przeszedł do twórczości dramatycznej. Za sztukę „Lubow jarowaja" otrzymał nagrodę stalinowską.

Książkę o Szaliapinie pisze L. Nikulin, będzie ona miała tytuł: „Opowieść o wielkim artyście".

Najlepszym teatrem Moskwy jest Moskiewski Teatr Artystyczny („MChAT"). Dla propagandy swoich idei teatr rozpoczął wydawanie „Rocznika". W pierwszym tomie „Rocznika Moskiewskiego Teatru Artystycznego" znajduje się ponad 30 artykułów, wywiadów, rozmów, wspomnień i listów, opublikowanych po raz pierwszy. Książka jest bogato ilustrowana.

Moskiewski Mały Teatr wystawił „dramatyczną opowieść" Aleksego Tołstoja „Iwan Groźny". „Przedstawienie „Iwan Groźny" — pisze jeden z recenzentów — które zaliczyć należy do najlepszych spektakli Teatru Małego jeszcze raz potwierdza, jak wysoka jest kultura najstarszej sceny rosyjskiej".

220 rocznica Akademii Nauk ZSRR. W bieżącym roku mija 220 lat od czasu założenia przez Piotra Wielkiego rosyjskiej Akademii Nauk. Rocznica ta będzie uroczyście uczczona w Leningradzie i Moskwie w dniach 15—25 czerwca. Akademia Nauk ZSRR odbędzie jubileuszową sesję. Zaproszono na nią 967 uczonych radzieckich i 146 zagranicznych. Prezydent Akademii W. Komarow i sekretarz Akademii N. Brujewicz wygłoszą przemówienia inauguracyjne. Poza sesjami plenarnymi odbędą się posiedzenia wydziałów Akademii. Z okazji jubileuszu pojawiła się książka informacyjna „220 lat Akademii Nauk ZSRR". S. Wawiłow i W. Wolgin przygotowali historię Akademii w językach rosyjskim, angielskim i francuskim. Uczestnicy sesji jubileuszowej zwiedzą instytucje i urządzenia naukowe Moskwy i Leningradu. W obydwu miastach będą urządzone wystawy wydawnictw Akademii, opublikowanych w ciągu 220 lat. Poza tym wystawione będą wszystkie godne uwagi dokumenty, charakteryzujące rozwój nauki rosyjskiej i działalność Akademii. Na te uroczystości zostało również zaproszone grono wybitnych uczonych polskich

TEATR POLSKI WE LWOWIE

W drugiej połowie lipca 1944 roku Czerwona Armia wypędziła Niemców ze Lwowa, a już w początkach sierpnia uruchomiony został w gmachu przy ul. Jagiellońskiej Polski Teatr Dramatyczny. Na czele teatru stanął jako dyrektor i kierownik artystyczny Bronisław Dąbrowski. Mając do dyspozycji duży stosunkowo, bo składający się z kilkudziesięciu osób, zespół aktorski, Dąbrowski wziął się do pracy z ogromną energią. W ciągu 10 miesięcy wystawiono kilkanaście utworów. A więc z repertuaru polskiego: „Wesele", „Uciekła mi przepióreczka", „Ich czworo", „Moralność pani Dulskiej", „Mąż i żona". Z repertuaru przekładów Kornijczuka: „Misja mister Perkinsa do kraju bolszewików" (aktualna satyra polityczna w tłumaczeniu Wandy Wasilewskiej), Maeterlincka: „Burmistrz Stylmondu". Ponadto dwie komedie muzyczne („Cały dzień bez kłamstwa" i „Moja siostra i ja").

Teatr gra codziennie. Liczbę widzów od sierpnia można zamknąć cyfrą 100 000. Wśród licznego zespołu aktorskiego wymienić należy nazwiska następujące: Żmijewska, Życzkowska, Suchecka, Wierzejska, Łozińska, Kwiatkiewiczowa, Michnowska, Sieniawska, Feldmanówna, Dąbrowski, Szymański, Leliwa, Hierowski, Surowa, Żytecki, Brochwicz, Kordowski, Rasiński, Woźniak.

Obok Dąbrowskiego reżyserami są: Bardini, Żytecki i Cegielski. Kierownikiem literackim jest Jerzy Koller. Dział dekoracji spoczywa w rękach Cegielskiego i Tenerowicza, kapelmistrzem jest Czosnowski.

Niezależnie od przedstawień teatralnych teatr lwowski urządził kilka akademii, m. in. uroczystą akademię z okazji wyzwolenia Warszawy. Ponadto już w sierpniu uruchomione zostało studio teatralne.

Poziom teatru jest wysoki. Znajduje to swój wyraz nie tylko w prasie lwowskiej, lecz w pismach kijowskich i moskiewskich, które przynoszą obszerne recenzje, wyrażające się z uznaniem o poziomie wykonawczym, inscenizacyjnym poszczególnych widowisk.

Nie zapadła jeszcze decyzja, jaka będzie najbliższa przyszłość teatru. Nie jest wykluczone, że cały zespół już w lecie opuści Lwów i osiądzie w Bytomiu. Gdyby stało się inaczej, gdyby teatr pozostał we Lwowie, czego pragnęłyby miarodajne czynniki radzieckie, w najbliższej przyszłości weszłaby do repertuaru sztuka Simonowa „Tak będzie". Ponadto projektowane jest na wypadek pozostania we Lwowie wystawienie „Lata w Nohant" oraz „Królowej przedmieścia".

Jacek Frühling

Po prostu

„Świętoszek" bez kolców

Na dwadzieścia teatrów, które obecnie grają, jeden tylko wystawił dotychczas nową sztukę polskiego autora. O ile można się zorientować z ogłoszonych planów repertuarowych, przewidziane są w najbliższym czasie jedynie dwie oryginalne premiery sztuk polskich. Obwinianie dyrektorów teatrów o lekceważenie współczesnej twórczości dramatycznej jest rzeczą równie łatwą co niesłuszną. Nowych polskich sztuk jest niewiele więcej niż palców u jednej ręki. Pogłoski o bujnym rozkwicie dramatopisarstwa w latach okupacji okazały się jedną z wielu legend. Nowe sztuki zostaną niewątpliwie napisane. Ale zanim to nastąpi, teatr oprzeć się musi na wznowieniach wielkiego klasycznego repertuaru. Od nowego i twórczego spojrzenia na wielkich tragików, na dramat i komedię romantyczną, na Szekspira, Moliera i Fredrę zależy styl współczesnego teatru w Polsce.

I dlatego ucieszyłem się, że teatr Wojska Polskiego w Łodzi wystawia molierowskiego „Świętoszka". I to właśnie „Świętoszka". Spośród wszystkich bowiem komedii Moliera „Świętoszek" nie tylko że zawiera najmniej zwietrzały, ba jeszcze wcale groźny ładunek społeczny, ale poza tym jest sztuką najbardziej bogatą w zagadnienia i przez to daje możliwość bardzo różnorodnych interpretacyj. Była to na swoje czasy sztuka zupełnie zuchwała. I nic dziwnego, że po pierwszym przedstawieniu w roku 1667 w Wersalu, zwalczający się dotąd zaciekle jezuici i janseniści wymusili zgodnie na Ludwiku XIV zakaz publicznego grania komedii. „Markizi, wykwintnisie, rogacze i lekarze" — pisze Molier do króla, prosząc o cofnięcie zakazu — „znosili potulnie to, iż ośmielono się przedstawić ich na scenie; udawali nawet, że i oni wraz z całym światem bawią się zdjętymi z nich żywcem wzorkami. Ale obłudnicy nie puścili tak łatwo szyderstwa mimo uszu; uczuli się dotknięci i wogóle zdumieni tym, iż ktoś ośmielił się wydrwić ich szalbierstwo, targnąć na rzemiosło, którym się trudzi tyle możnych i wpływowych osób. Takiej zbrodni nie mogli przebaczyć..." Napróżno Molier przerabia i nicuje swoją komedię: Tartuffa, który początkowo był duchownym, przemienia na osobę świecką, stroi go w mały kapelusik, wielką kryzę, szpadę i koronki, usuwa najbardziej drażliwe ustępy i dodaje tyradę o prawdziwej pobożności. Klika świętoszków na dworze jest nieubłagana, co więcej, arcybiskup paryski rzuca klątwę na każdego, kto by odważył się słuchać sztuki Moliera.

Opór, z jakim spotkało się wystawienie „Świętoszka", nie był przypadkowy. Stronnictwo religijne na dworze znacznie jaśniej od króla zdawało sobie sprawę z ładunku wybuchowego, jaki zawierała sztuka Moliera. „Świętoszek" uderzał w obłudę. Ale obłuda nie była jedynie sprawą indywidualnej moralności. Obłuda była zjawiskiem społecznym, była świadomie lub nieświadomie przywdzianą maską, która zasłaniała nie tylko rzeczywiste motywy ludzkich czynów, ale zarazem istotną społeczną treść feudalnego systemu, jaki rządził Francją. Język i gesty obłudy otwierały drogę do kariery na dworze, zapewniały osobiste bezpieczeństwo i osłaniały wszelkie możliwe występki i nadużycia.

Zdemaskowanie Tartuffa, odsłonięcie prawdziwego oblicza obłudnika, było hasłem do walki z kłamstwem darmozjadów, strojnych w koronki, birety i szpady, którzy tłoczyli się na przedpokojach królewskich, decydowali o stanowiskach, objadali Francję. „Świętoszek" nie uderza przecież jedynie w obłudę. Zastanówmy się tylko, czyż naprawdę by się tak wiele zmieniło, gdyby Tartuffe nie był hipokrytą i wierzył w to, co publicznie głosi? Czyż rola, jaką pełni w domu Orgona, stałaby się przez to mniej szkodliwa? Przypomnijmy sobie tylko, do jakiego stopnia szaleństwa doprowadzony został ten poczciwy i dotąd wydawało się zupełnie rozsądny ojciec rodziny. Posłuchajmy tylko uważnie, co ów Orgon mówi o zbawczym wpływie, jaki wywarło nań przebywanie z Tartuffem:

„Przy nim się cała moja odradza istota,
On wyzwala mą duszę z doczesnego błota,
Dzięki niemu z przywiązań ziemskich oczyszczony
Mógłbym na zgon dziś patrzeć matki, dzieci, żony
I nie uczułbym w sercu, ot nawet ukłucia"...

Przez Moliera przemawia cały rozsądek francuskiego mieszczanina, gospodarnego, pracowitego i cieszącego się życiem, który oburzał się na rozplenioną bujnie instytucję „kierowników sumień", na całą ową „policję duchowną" Tartuffów, wciskających się przemocą do prywatnego domu, aby tam samowładnie gospodarować na rachunek właściciela. Nie powinny nas bowiem zmylić pozory szczęśliwego zakończenia sztuki. Ów wysłannik księcia, oficer gwardii, zjawiający się w ostatniej scenie jak „deus ex machina", jest jedynie dworskim ukłonem Moliera wobec króla. W rzeczywistości Tartuffe, mający rozległe znajomości na dworze i w sądzie, kontakty z komornikami i policją, wyrzuciłby niechybnie Orgona z jego domu i na resztę życia zapakował do Bastylii.

W „Świętoszku" słyszymy pierwszy, ściszony pomruk gniewu mieszczańskiej Francji, która wierzy jeszcze w sprawiedliwość króla, ale ma zdecydowanie dość przemocy kleru i szlachty. Minie sto lat, zanim Wolter ze współczesnych sobie Tartuffów zacznie szydzić bez żadnych osłonek. „Któryś z hugenotów" — czytamy w „Słowniku filozoficznym" jak gdyby spóźnione post scriptum do „Świętoszka" — zadziwił się srodze, słysząc od znajomej damy, katoliczki, że ma ona spowiednika, który ją rozgrzesza i „kierownika sumienia", który ją od grzechów strzeże. „Dziwna to łódź" — zauważył — „co mając na sobie dwóch sterników, została tyle razy uszkodzona..." I dalej: „Nie słyszałem jeszcze o męskich „kierownikach sumienia", zapewne dla tej samej przyczyny, dla jakiej pani de la Vallière wstąpiła do klasztoru Karmelitanek, gdy ją król opuścił, zaś pan de Turenne nie wstąpił do klasztoru, gdy go zdradziła pani de Coetquen".

Niestety, owe jeszcze do dziś dnia kłujące kolce „Świętoszka", reżyseria Zelwerowicza ukryła troskliwie pod fałdami stylowych kostiumów. Gryząca satyra obyczajowa została przemieniona na pogodną rokokową komedię, zakończoną dworskim menuetem. Grabowski w roli Orgona stworzył postać ramola i beztroskiego głupca, jakby jakiegoś pana Jowialskiego Fredry. Daczyński jako Tartuffe, mimo namiętnego przeżywania roli aż po drżenie łydek i palców u rąk, był zwykłym łotrzykiem, na którym nie było znać pokostu długich lat hipokryzji. Interpretacja Moliera była rzeczywiście rewizjonistyczna. Na parę lat przed wojną, któryś z drugorzędnych krytyków francuskich usiłował dowieść, że jedynym uzasadnieniem Orgona jest to, iż kocha się on nieświadomie w... Tartuffie i o niego, a nie o własną żonę, jest zazdrosny. Reżyseria Zelwerowicza niemal że ten żart potwierdziła. Ze „Świętoszka" usunięto zagadnienie świętoszka, nic dziwnego, że sztuka przestała być zrozumiała.

Jan Kott

ŻYCIE MUZYCZNE KRAKOWA

Ostatnie koncerty krakowskie stały pod znakiem gości łódzkich: znanego kapelmistrza, obecnego dyrektora konserwatorium w Łodzi, **Kazimierza Wiłkomirskiego,** jego siostry **Wandy Wiłkomirskiej,** oraz **Ireny Dubiskiej.** Kazimierz Wiłkomirski dyrygował na poranku symfonicznym, w którym orkiestra Państwowej Filharmonii krakowskiej odegrała uwerturę do „Fletu zaczarowanego" Mozarta i Rymskiego-Korsakowa „Kaprys hiszpański". Obie te rzeczy brzmiały dobrze; zwłaszcza uwertura do „Fletu zaczarowanego", jedno z najpiękniejszych dzieł muzyki klasycznej, miała lekkość właściwą swemu stylowi. Współudział Wiłkomirskiej jako solistki był pewnego rodzaju sensacją tego koncertu. Młodziutka ta skrzypaczka, dziecko jeszcze prawie, wykazała w grze z orkiestrą muzykalność i pewność dojrzałej artystki, posiada przy tym ładny ton i dobrze wyrobioną technikę. Oczywiście interpretacja koncertu Mozarta jest rzeczą tak trudną, że niepodobna mierzyć tą miarą możliwości tak młodej artystki. Na razie była ona raczej poprawna, co oznacza już w tym wypadku bardzo wiele.

W innej roli wystąpili Wiłkomirscy w **kwartecie im. Szymanowskiego** (pierwsze skrzypce Dubiska, drugie skrzypce Wanda Wiłkomirska, altówka Szalewski, wiolonczela Wiłkomirski). Koncert należał do najmilszych tego sezonu. Po raz pierwszy od czasów wojny usłyszeliśmy nareszcie znowu muzykę kameralną, która stanowi najczystszy typ sztuki wykonawczej: wykonawca musi tu ustąpić ze swą osobą na dalszy plan wobec samego dzieła, które odtwarza, nie ma tu absolutnie pola dla egotyzmu, dla wirtuozowstwa, jest tylko wspólna wola zbiorowa, dążąca do tego, by możliwie najlepiej wniknąć w intencję kompozytora. Ten podstawowy nakaz wszelkiej muzyki kameralnej został tu w zasadzie spełniony. Każdy z członków kwartetu im. Szymanowskiego miał w pierwszym rzędzie na oku całość zespołu, a wtórnie dopiero to, co sam reprezentuje. Sztuka zgrania się została też doprowadzona do wysokiego poziomu. Mimo to pierwsze skrzypce często (kwartet Schuberta!) zajmowały dźwiękowo zbyt wiele miejsca w stosunku do innych instrumentów. Ładnie brzmiał pierwszy kwartet Szymanowskiego, utwór zajmujący w twórczości tego kompozytora pozycję zupełnie szczególną. W atmosferze ustawicznej walki o nową postawę artystyczną, cechującej tę twórczość, pierwszy kwartet działa jak oaza ciszy i spokoju. Zarówno pełna cudownego skupienia wewnętrznego jego część druga, jak i pierwsza ze swym jędrnym i treściwym tematem początkowym, są wyrazem absolutnej równowagi psychicznej i olbrzymiej dojrzałości. Dość wyraźnie wyszedł przy nim mniejszy stosunkowo ciężar gatunkowy kwartetu Ravela, zwłaszcza że główny jego urok, urok kolorystyki dźwiękowej, nie został wydobyty w całej pełni.

Wysoki poziom artystyczny wykazał recital fortepianowy **Jana Ekiera.** Jego techniczne opanowanie instrumentu można już dziś nazwać doskonałym, a świetna umiejętność w operowaniu polifonią świadczy o dyscyplinie intelektu, tak bardzo potrzebnej każdemu dzisiejszemu muzykowi. Dyscyplina ta jest posunięta tak daleko, że niejednokrotnie hamuje nawet u artysty bezpośredniość przeżycia. Szczegóły są zawsze wspaniale przemyślane, plastyka ich nie pozostawia nic do życzenia, ale akcent na nie położony jest tak wielki, że często traci na tym linia całości (Ballada Chopina). To też najpiękniej wyszły w ostatnim programie Ekiera Sonaty Scarlattiego, które zarówno mniejszym wymiarem inwencji, jak i samym jej typem najlepiej odpowiadają jego stylowi wykonawczemu.

Niestety, nie mogłam słyszeć Wieczoru Pieśni Śląskiej, urządzonego przez Związek Zachodni i Biuro Koncertowe Związku Muzyków z udziałem **Anieli Szlemińskiej, Edmunda Kossowskiego, Marii Bilińskiej-Riegerowej,** chóru pod batutą **Zb. Soji.** Jest jednak faktem ogólnie wiadomym, że koncert ten cieszył się dużym powodzeniem i ma nawet być powtórzony dla młodzieży szkolnej.

Stefania Łobaczewska

PRZEGLĄD PRASY

W Poznaniu po jednonumerowym żywocie „Zdrojów" ukazał się w czerwcu b. r. dwutygodnik pt. **„Zycie Literackie"**, wydawany przez Związek Zawodowy Literatów, pod redakcją Jarosława Iwaszkiewicza.

Pierwszy numer pisma sprawia wrażenie na ogół dodatnie. Poziom, jeśli nie najwyższy, to przynajmniej rzetelny, dostarczający lektury pożytecznej, nieraz interesującej, opartej na rzeczowych podstawach. Pismo nie zdradza może zbyt wygórowanych aspiracji w stawianiu zagadnień, ale w zamieszczonych publikacjach popiera tezy dokumentem i faktem, raczej unikając egzaltacji indywidualnego przeżycia. Po lekturze „Zdrojów" ma się chęć temu przyklasnąć. Uczciwy szkic historyczny w rodzaju artykułu Zygmunta Wojciechowskiego („O podstawy cywilizacyjne Polski zachodniej") więcej przysporzy dobra, niż najbardziej wylewny „pamiętnik duszy". Również Józef Kostrzewski w artykule o „Przyczynkach do poznania „kultury" niemieckiej XX wieku" służy nam cenną informacją o działalności okupanta na ziemiach zachodnich, opierając się na aktach plugawej pamięci „generalnego pełnomocnika dla zabezpieczenia niemieckiego mienia kulturalnego na byłych obszarach polskich" p. Hansa Schleifa, profesora i doktora terroris causa III-ej Rzeszy, haniebnej akademii zbrodni i niszczenia.

„Prof. Schleif" — pisze autor — *„ubolewający nad zniszczeniem i rozproszeniem zbiorów, potrafił jednak sam wydawać wyraźne urzędowe polecenia niszczenia zabytków kultury polskiej, jak świadczy jego pismo z 31 lipca 1940 r. do starosty powiatu gostyńskiego, w którym w odpowiedzi na doniesienie mu o znalezieniu na strychu dworu w Gębicach zwiniętego obrazu olejnego Stanisława Rostworowskiego (1856—1888): „Mojżesz", poleca mu zniszczenie obrazu przez spalenie.*

„W Gostyniu lekarz-Niemiec, docent jednego z uniwersytetów bałtyckich, zamianowany następcą kierownika miejscowego szpitala palił w piecu tomami „Kwartalnika Historycznego", którego rzadki do nabycia komplet został w mieszkaniu dra Walskiego. Gdy mu dr Walski zwrócił na to uwagę, odrzekł, że „jeżeli rozprawy z tego czasopisma są cos warte, to z pewnością były przetłumaczone na język niemiecki, jeżeli zaś nie są tłumaczone, to widocznie nic nie są warte i można je spokojnie spalić".

Jeśli publikacje historyczno-dokumentarne stanowią pożyteczną wartość w pierwszym numerze pisma, to słabszą jego stronę przedstawia publicystyka społeczno-literacka. Wobec przemian kulturalnych, czy ich konieczności, pismo literackie powinno zająć postawę, określić się w tle narastających problemów choć jedną wypowiedzią. „Zycie Literackie" tego nam nie daje, a jeśli daje, to, niestety, źle daje. Mieczysław Suchocki w artykule pt. „Żeromski mówi do nas", dopatruje się w „Powieści o udałym Walgierzu" tez i rozwiązań kulturalnych i społecznych, których żywa wartość do dziś zachowała niesłabnący wyraz.

„Literatura nasza niewątpliwie, w odróżnieniu od wielu dziedzin naszego życia, w tych przełomowych dla narodu chwilach nie zawodzi; jest ona przygotowana do swej służby i pełnienia swej roli w poważnej ilości swoich tworów. Można by więc powiedzieć, że w ten sposób zyskujemy w stosunku do niej nowe, dodatkowe kryterium wartości; przydatność w chwili, kiedy los szczególnie ciężko doświadcza naród".

„Nie chodzi nam tutaj o stawanie po tej czy tamtej stronie w ocenie twórczości Żeromskiego, nie chodzi o mnożenie pochwał, czy zarzutów i oskarżeń, ale raczej o próbę odtworzenia — poprzez pobieżną chociażby analizę jednego dzieła, będącego bodajże szczytowym osiągnięciem jego twórczości artystycznej — zasadniczego stosunku naszego pisarza do świata oraz zagadnień bytu narodowego, i stwierdzenie, że stosunek ten, wypracowany w trudzie serdecznym, ostał się w burzy dziejowej o orkanowym natężeniu i dziś służy nam zdecydowanie pomocą w odnajdywaniu siebie".

„...utwór Żeromskiego jest nam szczególnie bliski, nam, którzy to, co naród nasz poprzednio w kilku pokoleniach przeżywał na przestrzeni stupięćdziesięciu lat, obecnie przeżyliśmy raz jeszcze w kilkuletniej kondensacji i spotęgowanym nasileniu. Niewola ma swoje typowe przejawy i zjawiska, i to nam Żeromski właśnie pragnie uświadomić, prowadząc swego bohatera poprzez wszystkie kondygnacje jej piekielnych czeluści; od pokus i obietnic do nagrawań i tortur, od wiarołomstwa... do bohaterskiej nieugiętości i wierności...".

Jeśli utwór Żeromskiego dostarcza dziś bliskiej wibracji emocjonalnej, jeśli działa podatnie na odbiorcę, któremu losy Walgierza mogą wydać się pokrewne, nie znaczy to w żadnym razie, aby należało szukać w alegorii Żeromskiego pozytywnych rozwiązań dla współczesnych zagadnień kulturalnych, społecznych czy narodowych. Egzaltacja społeczna autora „Ludzi bezdomnych" jest najmniej zdatnym drogowskazem w problemach chwili obecnej i poświęcenie dwóch artykułów w pierwszym numerze nowego pisma twórczości Żeromskiego wydaje się niezręczne. Tym bardziej, że Stefan Sojecki w impresji o „Przepióreczce" („Przepióreczki złote piórka"), otwiera swe serce ze zbyt naiwną szczerością, pisząc co następuje:

„Przyznam się, że dla mnie „Przepióreczka" jest przede wszystkim uroczą komedią, dającą mi ogromną sumę najpiękniejszych przeżyć. Zamyka mnie w świecie zupełnym, bez żadnych braków. — W ciągu trzech godzin przedstawienia żyję i ja w orbicie tego świata' — Nie zastanawiam się nad niczym, porwany poetyckim jego pięknem. Wierzę Żeromskiemu na słowo, bez żadnych zastrzeżeń. — I to jest jej najwyższą wartością. Nie mam ochoty doszukiwać się w niej innych jeszcze".

Nigdy nikomu nie trzeba wierzyć na słowo. Zawsze warto się zastanawiać nad wszystkim. Bo, w przeciwnym wypadku rodzą się podobne owoce intelektu, jak poniższe odkrycie:

„Taki zdawałoby się drobiazg — zwykła przygoda miłosna zdolna jest wykoleić człowieka, jakich w społeczeństwie nie wielu można by naliczyć".

Obok prozy artystycznej w postaci opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Stracona noc", najbogatszą stronę pierwszego numeru pisma stanowi poezja. Ostatnie wiersze Wojciecha Bąka, wojenna twórczość Mieczysława Jastruna, Czesława Miłosza, Pawła Hertza. Piękne przekłady z poezji rosyjskiej: Aleksandra Błoka (Seweryn Poliak i Jerzy Klinger), Mandielsztama (Paweł Hertz), Majakowskiego (Leon Pasternak), Borysa Pasternaka (Mieczysław Jastrun).

Zabawnym, lecz rażącym potknięciem było umieszczenie facsimilów (nie „fascimilów") z autografami znanych pisarzy polskich, którzy zachwalają Poznań podobnie jak miliarderzy w amerykańskich magazynach pastę do zębów lub gumę do żucia.

Redakcji pisma należy się również szacunek za popieranie autorów młodych i nieznanych nikomu, jak Jerzy Mieczysław Lec (zapewne krewny Stanisława Jerzego?) i Karol Szaniawski (czyż nie syn autora „Żeglarza"?).

(kb).

Ruch teatralny w Krakowie

Krakowski **„Stary Teatr"**, pod kierownictwem Jerzego Ronarda Bujańskiego i Andrzeja Pronaszki, wydaje od dwóch miesięcy jedyne dotychczas w Polsce pismo, poświęcone wyłącznie sprawom teatru pt. **„Front Teatralny"**. W pierwszym numerze „Frontu" w artykule, zatytułowanym „Chwila osobliwa" („Przed podniesieniem kurtyny") dyr. Bujański omawia najżywotniejsze zagadnienia odrodzonego teatru w Polsce i formułuje credo artystyczno-społeczne powierzonej sobie placówki.

„...Nowy człowiek czeka nas u progu teatru, rwie się do niego, wali na widownię, spragniony słowa i czynu artystycznego... I nowy człowiek czeka nas za kulisami teatru, nowy aktor, którego mamy obowiązek wprowadzić na scenę, zakuć w czarodziejski krąg polskiego teatru... Musimy zetrzeć się z rzeczywistością, a z tego starcia, z tego pojedynku — z tego twórczego czynnego obliczenia się właściwie — stworzy się forma nowego artystycznego ujęcia".

Wykształcenie i wychowanie nowego aktora wchodzi w zakres prac **„Studia Teatralnego"**, stworzonego przez Bujańskiego i Pronaszkę i prowadzonego przy współpracy wybitnych ludzi teatru, literatury i nauki. Jak pisze Zygmunt Leśnodorski w tym samym numerze „Frontu", „program (studia) obejmuje całą encyklopedię wiedzy teatralnej, naturalnie w odpowiednim ujęciu i wyborze. A zatem historia teatru i dramatu, zarys historii sztuki i kostiumologii, teoria budowy wiersza, psychologia elementarna z zastosowaniem do zjawisk w dziedzinie teatru, plastyka teatralna — oraz na ćwiczeniach praktycznych: analiza tekstów dramatycznych, studium ruchu i wyrazu łącznie z ćwiczeniami mimicznymi, recytacja prozy i poezji, a także tekstów gwarowych, recytacja chóralna, oraz oryginalne — ćwiczenia w milczeniu".

Stąd widać, że zamierzenia i ambicje „Starego Teatru" idą po wysokiej linii. Można to było zresztą stwierdzić, obserwując ciekawe rozwiązanie reżyserskie i nienaganne wykonanie aktorskie dotychczasowych premier („Mąż doskonały", „Teoria Einsteina" i „Beksa"). We wszystkich tych przedstawieniach brali udział również uczniowie studia („Beksę" wystawiono wyłącznie ich siłami), zapisując się dodatnio w pamięci widzów. Dyr. Ronard Bujański nie poprzestając na pracy w „warsztacie teatralnym" jako kierownik instytucji i reżyser, zamieszcza w drugim numerze „Frontu" nowy artykuł, a raczej manifest, w którym rozpatruje ze stanowiska obecnej rzeczywistości ważne i aktualne zagadnienie „polskiego autora w polskim teatrze", omawia kwestię wznowień, jako „zaplecza dla premier" i dzieli się ciekawymi uwagami na temat techniki i atmosfery pracy dramatopisarskiej.

„Teatr Rapsodyczny" M. Kotlarczyka przygotował nową premierę. Jest nią próba zamknięcia w godzinie recytacji całości pojęciowej mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza". Przyznać trzeba, że próba powiodła się, przynajmniej częściowo. Zespół Teatru Rapsodycznego, przejąwszy się niektórymi głosami krytyki z pierwszej premiery, na którą składały się fragmenty tekstów Mickiewicza i Słowackiego, zwrócił baczniejszą uwagę na gest jako moment aktorski, podkreślający wagę słowa, a poza tym recytatorzy wystąpili w stylizowanych kostiumach. I tutaj intencja minęła się z celem o tyle, że brakło koniecznej synchronizacji słowa z gestem, który zbyt często bywał nieopanowany i niepoparty przekonywającą racją psychologiczną. Zresztą całość wypadła dodatnio. Podkreślić trzeba zwłaszcza nienaganne rytmicznie odtworzenie poloneza. Ilustracja muzyczna, w opracowaniu Antoniego Żulińskiego, a wykonana przez Krystynę Niżyńską, sugestywnie poddawała nastrój (motywy mazurka Dąbrowskiego i Marsylianki) i łączyła fragmenty poematu w zwartą całość logiczną i wzruszeniową.

Teatr Miejski im. J. Słowackiego gra w dalszym ciągu „Zemstę", tym razem z Mieczysławą Ćwiklińską w roli Podstoliny, Solskim w roli Dyndalskiego i Leszczyńskim, jako Cześnikiem. Wznowiono komedię Abrahamowicza i Ruszkowskiego „Mąż z grzeczności", doskonale graną przez zespół, złożony z aktorów warszawskich i krakowskich, wystawiono wreszcie od dawna oczekiwaną **„Penelopę"** Ludwika Hieronima Morstina.

W ramach wieczoru, poświęconego twórczości zmarłego niedawno w Krakowie poety i malarza Tytusa Czyżewskiego, zespół **Teatru Plastyków** (dawny „Cricot") i słuchaczy lektoratu wymowy U. J., wystawił pod kierunkiem reż. W. Dobrowolskiego **„Śmierć Fauna"**. Przedstawienie odbyło się na estradzie kawiarni „Dom Plastyków". Oprawę dekoracyjną dał sztuce Tadeusz Kantor, ilustrację muzyczną skomponował Jan Ekier. Orkiestrą dyrygował Adam Rygier. Wieczór wypadł dość słabo, do czego w dużym stopniu przyczyniły się braki w dykcji niemal wszystkich wykonawców. I zastrzeżenie pod adresem wykonawczyń: nie należy się w tragicznym momencie akcji bezmyślnie uśmiechać do partnerów. W ogóle tylko dwie postaci sztuki, a mianowicie Faun w interpretacji Dobrowolskiego i Kuba (aktor bezimienny), stały pod względem głosowym i aktorskim na odpowiednim poziomie. Muzyka Ekiera znakomita.

Pragnę jeszcze wspomnieć o przemiłej **„Rewii Dziecięcej"**, zorganizowanej w Skawinie przez Jerzego Polańskiego. W rewii brały udział dzieci od 5—12 lat. Kapitalne numery orkiestry dziecięcej, skecze i tańce charakterystyczne, wywoływały okrzyki zachwytu na widowni, składającej się z rówieśników małych wykonawców.

Juliusz Kydryński

Kalendarz kulturalny

W Warszawie stała komisja porozumiewawcza organizacji młodzieżowych skierowała do ministra Oświaty pismo, które po obszernym uzasadnieniu stawia wniosek zupełnego skreślenia języka niemieckiego z programu nauczania i ograniczenia swobody wyboru języków nowoczesnych w szkole do rosyjskiego, angielskiego i francuskiego. Jest to postulat całej młodzieży demokratycznej. Pismo podpisali przedstawiciele Związku Młodzieży Demokratycznej i Związku Harcerstwa Polskiego.

Pałac i zbiory wilanowskie będą już w najbliższych dniach udostępnione dla publiczności. Pałac wilanowski ocalał przed zniszczeniem, natomiast zbiory uległy znacznemu przetrzebieniu. Najcenniejsze przedmioty muzealne wywieźli Niemcy. Zrabowano pamiątkowe biurko ofiarowane Janowi Sobieskiemu przez papieża po zwycięstwie wiedeńskim. Wywieziono również sławny obraz Davida, przedstawiający Stanisława Potockiego i wiele innych zabytków. Podczas okupacji nad zbiorami czuwał specjalny kustosz, który aczkolwiek nie mógł obronić dzieł sztuki przed grabieżą, dokonał szczegółowej inwentaryzacji wywiezionego mienia oraz spisu osób, które tej kradzieży dokonały, zanotował również dokad zbiory wilanowskie zostały wywiezione. Obecnie Wilanów został upaństwowiony i jako ośrodek kulturalny będzie stanowił oddział Muzeum Narodowego w Warszawie.

Ekspedycja polska, która udała się na odzyskane tereny nad Odrą i Nisą w poszukiwaniu wywiezionych przez Niemców części maszyn fabrycznych, natrafiła w jednej z miejscowości na skład, gdzie wśród połamanych części metalowych i stosu żelastwa, znaleziono pomnik Kopernika i figurę Chrystusa sprzed kościoła św. Krzyża. Obydwa pomniki są w dobrym stanie. Wbrew pierwotnej wersji, że statua Kopernika została rozbita pociskami z „tygrysów", okazuje się, że Niemcy rozebrali odlew, składający się z dwóch części i wraz z figurą Chrystusa wywieźli do Rzeszy, skąd niebawem zostaną te dwa drogie Warszawie pomniki sprowadzone do stolicy. Dzięki zachowaniu ich w dobrym stanie, będą mogły w krótkim czasie wrócić na swoje miejsca.

Biblioteka Zamoyskich w Warszawie, założona w XVI w. przez kanclerza Jana Zamoyskiego, zawierająca 150 000 tomów, największy w Polsce prywatny zbiór pergaminów i kodeksów iluminowanych, zbrojownię, zbiór starożytności i ceramikę grecką — została doszczętnie zniszczona. We wrześniu 1939 r. zostały spalone budynki od strony ul. Zabiej, w r. 1944 — pozostałe gmachy. Pod gruzami zwalonego sklepienia odnaleziono teraz spalone i potłuczone pozostałości zbiorów: lufy starych strzelb i rusznic skałkowych, szczątki szabel i szpad, kawałki koncerzy. Porcelana została rozbita zupełnie, meble spalone. Wśród gruzów znaleziono rozsypany zbiór medali i resztki starożytności, strawione ogniem. W bocznych pomieszczeniach, obok głównej sali leżą grube warstwy popiołu — pozostałość po drukach historycznych i pamiątkowych.

Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane na zlecenie BOS prowadzi obecnie prace na Rynku Starego Miasta. W pierwszym etapie roboty te obejmują usuwanie gruzów i segregowanie cegły oraz oczyszczanie ulicy Jezuickiej i Kanonii w celu przebicia dostępu na Stare Miasto. W związku z doprowadzaniem do stanu użyteczności różnych obiektów na terenie Warszawy wymienić należy: remont domu Dyrekcji Monopolu Spirytusowego przy ul. Leszno, remont maszynowni i wieży ciśnień Rzeźni Miejskiej przy ul. Sierakowskiego, oraz prowizoryczny remont kościoła Redemptorystów przy ul. Karolkowej.

Wydział Propagandy Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego rozwija ożywioną działalność wydawniczo-oświatową. Dla użytku żołnierza polskiego wydaje kilka cyklów broszur. W cyklu „Biblioteczka wojskowa" ukazały się dotychczas: „Powstanie warszawskie", „Fakty i dokumenty", „O ziemie polskie na zachodzie", „Demokracja i reakcja". Cykl „Biblioteczka utworów literackich" składa się z następujących tomików: „Warszawa" (zbiór wierszy m. in. Balińskiego, Hemara, Pasternaka, Słonimskiego, Szenwalda i Wazyka, poświęconych stolicy), „Michałko" Prusa, „Wiersze i pieśni Armii Ludowej". W cyklu „Teatrzyk Żołnierza" wydane zostały dotychczas tomiki pt. „Na skrzyżowaniu dróg", „Bij Niemca", „Meldunek"; są to wiersze, inscenizacje, krótkie utwory dramatyczne, przeznaczone dla teatrzyków żołnierskich. Poza tymi cyklami ukazały się broszury: „Słowniczek polityczny dla żołnierzy" oraz „Odbudowa gospodarcza nowej Polski".

Istniejący przy Wojskowym Instytucie Naukowo-Wydawniczym Wydział Odbudowy Dorobku Kultury Wojskowej organizuje archiwalno-historyczne instytucje związane z badaniem dziejów Wojska Polskiego. Wydział ten powołał do życia Wojskowe Biuro Historyczne, dla którego zebrano już akta I Armii Polskiej, sformowanej w ZSRR, ponadto odtwarza i organizuje Centralną Bibliotekę Wojskową. Dotychczas odszukano i zabezpieczono z górą 40 000 książek z ocalałych resztek dawnych bibliotek wojskowych. Zabezpieczono również polskie archiwa wojskowe, wywiezione przez okupanta i złożone w 5 barakach w Oliwie pod Gdańskiem. Wreszcie Wydział Odbudowy Dorobku Kultury Wojskowej kieruje akcją zbierania eksponatów dla Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Oddany został do użytku kinoteatrom polskim niezwykle ciekawy radziecki film reportażowy, przedstawiający scenę podpisania w Berlinie aktu kapitulacji. Film ten uzupełniają zdjęcia z ostatniego etapu walk, prowadzonych na ulicach Berlina, moment zatknięcia flagi radzieckiej na gmachu Reichstagu, defiladę jeńców niemieckich i t. d. W najbliższym czasie ukażą się również w polskim tygodniku filmowym zdjęcia z Berlina, przedstawiające moment wkroczenia I-ej Armii i zatknięcia polskiego sztandaru.

W łódzkiej fabryce Scheiblera i Grohmana zaczął wychodzić drukowany na powielaczu dwutygodnik pt. „Nasza Myśl". Pismo to, mające charakter społeczno-literacki, redagowane jest przez robotników fabryki.

W Krakowie w Auli Akademii Górniczej odbyła się uroczysta inauguracja nowoutworzonej Politechniki Śląskiej z tymczasową siedzibą w Krakowie. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele nauki, duchowieństwa, związków zawodowych i stronnictw politycznych. Przemówienia wygłosili rektor Akademii Górniczej prof. Goetel oraz kierownik komitetu organizacyjnego Politechniki prof. Stella-Sawicki.

Dnia 6 czerwca w lokalu krakowskiego Związku Zawodowego Literatów odbył się trzeci wieczór autorski z cyklu pt. „Żywa książka", w którym udział wzięli: Zbigniew Bieńkowski (wiersze z tomu pt. „Sprawa wyobraźni") i Tadeusz Breza (fragment z powieści pt. „Mury Jerycha"). Słowo wstępne wygłosili Julian Przyboś i Jerzy Zawieyski.

W dniu 1 czerwca br. zmarł po krótkiej chorobie znakomity uczony polski dr Roman Dyboski, profesor filologii angielskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim i członek Polskiej Akademii Umiejętności.

Szkolnictwo muzyczne w Krakowie. Reorganizacja zawodowego szkolnictwa muzycznego jest już w Krakowie faktem dokonanym. Powstaną tam trzy typy szkół: szkoła tzw. niższa czyli dziecięca pod kierownictwem Adama Riegera, szkoła średnia pod kier. T. Wilczaka i szkoła wyższa pod dyrekcja Zbigniewa Drzewieckiego. **Szkoła dziecięca**, w której nauka odbywa się już normalnie, obejmuje dwie klasy specjalne: fortepianu i skrzypiec; duży akcent położony jest przy tym na przedmioty umuzykalniające: solfeż, rytmika i ogólne zasady muzyki. **Szkoła średnia**, która w przyszłości ma być przekształcona na gimnazjum muzyczne, obejmuje klasy specjalne: fortepianu, instrumentów smyczkowych, instrumentów dętych, śpiewu solowego, organów, oraz teorii i kompozycji, oraz przedmioty teoretyczne, mające zapewnić ogólne wykształcenie muzyczne (teoria i historia muzyki, harmonia, nauka o formach muzycznych). **Wyższa szkoła muzyczna** kształcić ma kompozytorów, teoretyków, dyrygentów i solistów wszelkiego typu do samodzielnej pracy artystycznej i naukowej. Egzaminy wstępne do tej szkoły są już na ukończeniu. Od września br. otwarty zostanie jeszcze inny typ szkoły muzycznej, tzw. **szkoła umuzykalniająca**, w której nie będzie obowiązywał cenzus wieku i która zaspokoi potrzeby najszerszych warstw, pragnących kształcić się w muzyce.

W Poznaniu odbyło się dnia 3 czerwca b. r. otwarcie radiostacji poznańskiej. Po przemówieniach przedstawicieli państwa i Zarządu Miejskiego, orkiestra Polskiego Radia w Poznaniu odegrała „Fantazję" Moniuszki i wiązankę pieśni narodowych, a w dalszym ciągu uroczystości odbył się w auli Uniwersytetu Poznańskiego wielki koncert publiczny w wykonaniu artystów opery poznańskiej i orkiestry radia.

Uniwersytet Poznański uruchomiony został w końcu kwietnia. Czynne są wydziały: medyczny, humanistyczny, przyrodniczo-matematyczny, farmaceutyczny i rolniczo-leśny. Wydział prawny jest w stadium organizacji. Największą ilość słuchaczy posiada wydział medyczny, który liczy na pierwszym roku 400 studentów, gdy przed wojną miał ich 150. Rektorem Uniwersytetu jest profesor chemii fizjologicznej Stefan Dąbrowski, prorektorem profesor Błachowski. Gmach Uniwersytetu ucierpiał znacznie wskutek działań wojennych, dużą liczbę klinik porozmieszczano w innych zakładach pozauniwersyteckich, gdzie odbywają się wykłady. Zniszczeniu uległy także szpitale uniwersyteckie. Około 60 % sprzętu i instrumentów naukowych zostało bądź zniszczonych, bądź wywiezionych przez okupanta.

Odbyło się walne zebranie poznańskiego oddziału Związku Zawodowego Literatów. Po sprawozdaniu z działalności ustępującego zarządu przystąpiono do wyboru nowego, który ukonstytuował się w składzie: prezes — Wojciech Bąk, wiceprezesi — Eugeniusz Zytomirski, Jan Ł[illegible]czyński, sekretarz — Antoni Kawczyński oraz Czesław Kubalik Witold Powell, Stanisław Strugarek i Stanisław Krokowski.

Dwa ostatnie „Czwartki literackie" w Poznaniu zostały poświęcone twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, który odczytał kilka swych wierszy i fragment prozy, oraz poezji Eugeniusza Żytomirskiego.

W Katowicach odbyła się dnia 2 czerwca konferencja komisji organizacyjnej uniwersytetu śląskiego. W konferencji wziął udział minister oświaty. Po omówieniu spraw związanych z potrzeba powołania do życia uniwersytetu na Śląsku, nastąpiła ożywiona dyskusja, w wyniku której wręczono min. Skrzeszewskiemu memoriał do rozpatrzenia.

Dnia 3 czerwca odbył się Zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego województwa śląsko-dąbrowskiego. Po oficjalnej części Zjazdu, w którym wzięło udział ponad 800 osób, nastąpiły obrady Zarządu Okręgu Z. N. P. w obecności ministra oświaty.

Słownik starożytności słowiańskich

Zarówno wzrost znaczenia Słowiańszczyzny w świecie, jak wzrost poczucia bliskości między poszczególnymi narodami słowiańskimi każą obecnie ze wzmożoną energią przystępować do wydawnictw o znaczeniu ogólnosłowiańskim i nawet szerszym, mogących mieć znaczenie dla nauki europejskiej i światowej w ogóle.

Do tego rodzaju wydawnictw, mających znaczenie najszersze, należy niewątpliwie „Słownik starożytności słowiańskich" (Dictionnaire des Antiquités Slaves), wielkie dzieło encyklopedyczno-historyczne, zainicjowane przed blisko dwudziestu laty przez znakomitego polskiego historyka stosunków społecznych i gospodarczych Franciszka Bujaka, wówczas profesora uniwersytetu we Lwowie. Prof. Bujak inicjatywę swoją złożył w ręce zorganizowanej w r. 1927, również z inicjatywy polskiej, Federacji Wschodnio-Europejskich Towarzystw Historycznych, do której weszły wszystkie kraje Europy Wschodniej. Federacja powierzyła projektodawcy wykonanie tego doniosłego dzieła, a udział i współpracę przyrzekły wszystkie państwa zainteresowane.

„Słownik starożytności słowiańskich" miał być na szeroką miarę pomyślaną encyklopedią przeszłości krajów i narodów całej Słowiańszczyzny. Wszystko, co działo się na ziemiach słowiańskich od czasów prehistorycznych aż do końca średniowiecza, w dziedzinach kultury duchowej i cywilizacji materialnej, miało być zebrane i opisane przez najwybitniejszych specjalistów całej Słowiańszczyzny. Dodatkowo miały być objęte slavica również na terenie krajów sąsiadujących ze Słowiańszczyzną, więc w Rumunii, Grecji, na Węgrzech itd.

Federacja Wschodnio-Europejskich Towarzystw Historycznych wyłoniła dla „Słownika" specjalny komitet redakcyjny, którego przewodniczącym został inicjator wydawnictwa prof. Bujak, a członkami zainteresowani przedstawiciele poszczególnych krajów słowiańskich. Siedzibą wydawnictwa został Lwów, gdzie pracował wówczas prof. Bujak, i tam też rozpoczęto od r. 1928 prace przygotowawcze. Istniejący wówczas w Polsce Fundusz Kultury Narodowej wyznaczył na rzecz „Słownika" początkową dotację 25 tysięcy zł, przyobiecując stałe subwencjonowanie wydawnictwa w miarę postępu jego prac.

Czynności przygotowawcze były rozległe, skomplikowane i trudne. Należało we wszystkich krajach w grę wchodzących zorganizować stały zespół współpracowników, reprezentujących wszystkie dziedziny wiedzy objęte planem „Słownika". Należało uzgodnić ogromną ilość kwestii rzeczowych w ramach poszczególnych dziedzin wiedzy (np. archeologia, sfragistyka, etnografia, historia literatury, geografia historyczna, numizmatyka, kultura duchowa itd.), a to podzielić każdą dziedzinę na tematy ogólne i szczegółowe, wyodrębnić hasła wspólne między poszczególnymi dziedzinami, osobno ułożyć wykaz tematów wspólnych dla dwu lub więcej krajów i narodów, oraz ułożyć metodę i sposoby zapobiegania sprzecznościom i powtarzaniom się. Należało w końcu ułożyć program technicznego wykonania ogromnego przecież wydawnictwa, obliczonego na co najmniej sześć tomów formatu leksykalnego po tysiąc dwuszpaltowych stron każdy.

Zaznaczyć trzeba, że podobne wydawnictwo niemieckie, „Słownik starożytności germańskich", było przygotowywane w ciągu lat kilkunastu, a wydanie tej publikacji, w warunkach o wiele bardziej sprzyjających pod względem materialnym, potrwało drugie tyle. Wobec tego nic dziwnego, że prace przygotowawcze naszego „Słownika" ciągnęły się przez lat blisko dziesięć. Ogromu tych prac dokonały w gruncie rzeczy właściwie tylko dwie osoby, prof. Bujak i niżej podpisany, starając się o materiały wstępne u współpracowników krajowych i zagranicznych. Prof. Bujak i niżej podpisany odbyli w tym celu kilka podróży specjalnych do krajów zachodniej i południowej Słowiańszczyzny, a rektor uniwersytetu warszawskiego prof. Antoniewicz jeździł w tymże celu do ZSRR. Otrzymano sporo materiałów a jeszcze więcej obietnic.

W okresie 1933—36 zgromadzono mniej więcej kompletny wykaz haseł, jakie winien „Słownik" objąć, ustalono autorów, którzy powinni te hasła opracować, przewidziano rozmiary poszczególnych artykułów i rozważono stronę techniczną. Wydany w r. 1934 „zeszyt próbny" „Słownika", przedłożony II Międzynarodowemu Zjazdowi Slawistów w Warszawie, a zawierający próbne artykuły ze wszystkich krajów słowiańskich i wszystkich dziedzin rzeczowych, spotkał się z wielkim zainteresowaniem i powszechnym uznaniem.

Niestety, była to pierwsza i jedyna publikacja drukowana „Słownika". Kryzys gospodarczy panujący w Polsce w tym czasie spowodował obcięcie a potem zupełne cofnięcie subwencji dla „Słownika". Prof. Bujak jakiś czas próbował z własnych funduszów kontynuować dalsze prace przygotowawcze, wskutek jednak wyjazdu niżej podpisanego w r. 1936 ze Lwowa, prace te musiały być przerwane, gdyż przeciążony innymi zajęciami inicjator „Słownika" musiał rzeczy tej w końcu zaniechać. Materiały jednakowoż pozostały, i poza niewątpliwym faktem posunięcia się stanu wiedzy w niektórych dziedzinach dalej, materiały owe posiadają na pewno swoją wartość niezmienną nadal.

Obecnie byłoby bardzo pożądane, by w nowych warunkach, owo tak doniosłe i istotnie pożyteczne wydawnictwo mogło być ponownie podjęte i do szczęśliwego końca doprowadzone. Tego wymaga interes naukowy wszystkich narodów słowiańskich.

Henryk Batowski

Termin nadsyłania prac na ogłoszony przez krakowski oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich **konkurs na nowelę** (por. „Odrodzenie" nr 27) został przedłużony do **1 sierpnia b. r.**

Zaprenumerować „ODRODZENIE"

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata miesięczna wynosi 21 zł., kwartalna 63 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Prenumerata miesięczna 21 zł., kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

M—01597